POEZJE.

Druk Piotra Laskauera i S-ki. Warszawa, Nowy Świat 41.

LEON RYGIER.

POEZJE.

SERJA I.

WARSZAWA
NAKŁADEM TEODORA PAPROCKIEGO i S-ki
NOWY ŚWIAT № 37
1904.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Мая 1903 г.

POWITANIE MUZY.

Witaj mi słodka, świetlana córo Harmońji odwiecznej!
Witaj mi, gościu z tych sfer, kędy stęskniony mknie duch!
W progi me z twojem przybyciem promień się wdziera
[słoneczny,
Pieśń jakaś, niby szmer fal, pieści swym rytmem mój słuch.

Długom się błąkał po świecie, tęskny i smutny ogromnie,
Obcy tej ciżbie, co wre szałem poziomych swych żądz...
Życie krwawiło mi serce, tłum szary deptał wciąż po mnie—
Jam jednak krzepił się wciąż, myśląc o tobie i śniąc...

I oto idziesz nareszcie w wieńcu promieni na czole...
Greckich posągów masz kształt i marmurową ich biel...
Niesiesz mi lirę śpiewaczą, co ma rozjaśnić mą dolę,
I nad rozkoszy mdłych czczość wyższy wskazujesz mi cel.

Boska!.. Niech inni szukają szczęścia w próżniaczym dosycie,
W skarbach, co dają im moc słodycz ze wszystkich ssać róż...
Ja tylko tobie jedynej pragnę poświęcić swe życie,
I tylko z czystych twych rąk przyjąć upojeń chcę kruż...

W biednej, samotnej mej celi gości powaga świątyni:
Piękno w niej ołtarz swój ma, wonnem kadzidłem jest śpiew...
Witam cię, witam w mych progach, o najłaskawsza bogini,
W darze składając u stóp łzy moje gorzkie i krew.

EKSTAZA.

NA HARFIE KŁADĘ DŁOŃ.

Na harfie kładę dłoń, a żar mię pali,
Na harfie kładę dłoń, a z trwogi drżę...
Ach, ten ostatni śpiew — czy mię ocali,
Ach, ten ostatni śpiew — czy zgubi mię?

Wyśniłem sobie świat z jasności słońca,
Wyśniłem sobie świat z błękitu sfer...
Tęsknota szarpie mię nieustająca,
Tęsknota szarpie mię — jak sęp swój żer.

Dziś przyszła chwila chwil — napięcie mocy...
Dziś przyszła chwila chwil — brzemienna w grom...
I albo błyśnie cud mej twórczej nocy,
I albo błyśnie cud — lub hańba snom!...

Na harfie kładę dłoń — a żar mię pali...
Na harfie kładę dłoń — a z trwogi drżę...
Ach, ten ostatni śpiew — czy mię ocali...
Ach, ten ostatni śpiew — czy zgubi mię?...

O Święte Jutro!..

Piersią, co płonie wzbierającą lawą,
Tarzam się w prochu ziemi—ja, szalony,
Ja, obłąkany syn nieznanych światów,
Co się objawić mają w dniu ostatnim,
W dniu, który idzie...

O Święte Jutro!..

Wszystkie modlitwy świata, Dziś i Wczora
Tęskniących duchów, Początek i Koniec
Tragicznej męki, która się zawiera
W pierwszem szatana słowie do człowieka,
W gromowem słowie: Dlaczego?
Cały ten bezmiar bolu i rozkoszy,
Życia i śmierci, światła i ciemności,
Dziś moją duszę wezbraną rozpiera,
I bucha w górę słupem płomienistym:

O Święte Jutro...

. . . .

Rozgrał się dziki bór,
Rozgrał się, rozchichotał...
Szum idzie w mglistą dal,
Echo mu niesie wtór—

Ptak jakiś wielki w czarne skrzydła załopotał—
I wśród powietrznych fal
Szybuje drogą chmur...

Rozgrał się dziki bór...
Rozgrał się dziki bór...

Skarżą się stare dęby hijobowym głosem
Na swą spróchniałą korę,
Na swoje serca chorę;
Skarżą się białe brzozy z rozpuszczonym włosem
Na swoje łzy sieroce,
Tęsknoty i niemoce —
A duch mój trwa w zadumie nad ich smutnym losem...
. . . .

Hej — leć mój głosie
Po nocnej rosie,
Wiosenną pieśnią dzwoń...
Ze złotej czary
Płyną nektary —
Odurzająca woń...

Niech ból daremny
Wśród nocy ciemnej
Rozwieje się, jak mgła;
Niech krew zapali
Ognistej fali
Zdradziecka, płocha skra!..
. . . .

Ptak jakiś czarny w skrzydła załopotał...
. . . .

Mówiłaś, o Znikoma, żeś jest, jak królowa,
Co tajemnicę szczęścia otrzymawszy w wianie,
Daje potężnych zaklęć czarodziejskie słowa
Tym, w których kornych duszach trwa jej królowanie.

A ja?... Czyż nie leżała u twych stóp ma głowa,
Czyż w świątnicy twej moje nie łkało błaganie?
I gdzież jest moc twych czarów, gdzież jest światłość owa,
Co zwalcza noc? Tak długo próżno czekam na nie...

Skłamałaś, o Zawodna... W ciemnej, martwej głębi,
Co ciągnie moje oczy silniej, niż ogrody
Twoich rajów, olbrzymi kształt się wiecznie kłębi.

Przysięgłaś mi, że zniknie... Jam był wówczas młody,
Pełen sił... Dziś już tchnienie cmentarne krew ziębi —
Czar twój prysnął... a wiecznie nęcą martwe wody!..

. . . .

Rozgrał się dziki bór...
Rozgrał się dziki bór...

. . . .

O Święte Jutro!..

. . . .

Czemu wy, oczy moje czuwające,
Wy, dwa magnesy, ciągnące ku sobie
To, co się kryje za mglistą zasłoną
Przedjutrzennego, błękitnego zmierzchu —
Czemu wy, oczy moje wypatrzone,
Krwawe od pyłu gwiezdnego — i smutne —
Jak moja dusza —
Czemu wy, oczy moje, nie możecie
Zmienić się cudem w dwa skrzydlate orły,
I z głośnym skwirem tryumfu
Spłynąć się z blaskiem i roztopić w słońcu?..

. . . .

Piersią, co płonie wzbierającą lawą,
Tarzam się w prochu ziemi, ja, szalony,
Ja, obłąkany syn nieznanych światów,
Co się objawić mają w dniu ostatnim,
W dniu, który idzie...

. . . .

Dlaczego?..

Dlaczego Ty nam urągasz, o Panie?
Dlaczego się natrząsasz bezlitośnie
Z naszej małości, co się pręży w bezmiar,
I z kainowem zuchwalstwem spogląda
W Twoje gromami ziejące źrenice...
Dlaczego?

Dlaczego Ty nie podasz duchom wolnym
Drabiny z jasnych błysków objawienia,
By wstępowały ku swej obiecanej
Ku swej przeczutej i należnej Doli...
Dlaczego?..

Dlaczego słowo Twoje nie zahuczy
Gromem przekleństwa na nikczemne płazy,
Co się w szczelinach skalnych gnieżdżą rojnie
I ostrzą żądła zdradzieckie, by w serca
Sączyć nam jady zwątpień i rozpaczy...
Dlaczego?..

Dlaczego Ty nie każesz zmilknąć szeptom,
Co w noc z liljowych idą heljotropów
I oczy jasne zasnuwają bielmem,
I rozchylają wargi ust spieczone,
I piersiom kradną dech, a myślom skrzydła—
Dlaczego?..

. . . .

Głowa się moja wznosi z prochu ziemi
Ku gwieździe złotej...
Wiatr zakołysał liljami srebrnemi,
Co mrą z tęsknoty...

Tajemne jakieś zaszeptały głosy
W zamilkłym borze...
I zapaliły się dokoła rosy,
Jak srebrne zorze...

A opył gwiezdny prószy wciąż i prószy,
Jak deszcz świetlany —
I blask miesięczny koi tęsknej duszy
Bolesne rany...

. . . .

O Święte Jutro...

VOX AETERNITATIS.

WACŁAWOWI NAŁKOWSKIEMU.

— — Tam... podemną
Potworna otchłań paszczą zieje ciemną,
I z wnętrza, w żyłach mrożąc krew,
Potworny huczy zew:

— O, pójdź!.. Jam owa tajemnica,
O której śniłeś nadaremnie...
— O, pójdź!.. —
Odkryję ci fatalne lica,
Byś się mądrości uczył ze mnie...
— O, pójdź!.. —
Niech trwoga woli twej nie pęta,
Niech wstręt twych oczu nie odpycha...
— O, pójdź!.. —
Ja — niezgłębiona, niepojęta,
Dam ci z wieczności pić kielicha...
— O pójdź!.. —

. . . .

— — — Zorza!.. Zorza!..
Słońce podniosło skroń z za morza,
I krwawo-purpurowe włosy
Rozwiawszy — wschodzi na niebiosy.
Olbrzymi hejnał z fal powstaje,
Wtórzą mu echem wzgórza, gaje —
I jednym krzykiem drżą przestworza:
— — — Zorza!... Zorza!...

— — Życie!.. Życie!..
Krwawy płodzenia szał w zenicie,
Rażący blask, płomienne kwiaty —
I duszne, parne aromaty!..
Nic prądu dzikich sił nie wstrzyma!
Ląd się rozognia, morze wzdyma,
Duch i materja drżą w zachwycie!..
— — Życie!.. Życie!..

. . . .

— — A podemną
Potworna otchłań paszczą zieje ciemną,
I z wnętrza, w żyłach mrożąc krew,
Potworny huczy zew...

— O, pójdź!.. Ta chwila upojenia
Posad odwiecznych praw nie wzrusza!..
— O, pójdź!.. —
Doczesność marny kształt odmienia,
Lecz nieśmiertelną — tylko dusza...
— O, pójdź!.. —
Przez moje ciemne, głuche wrota
Dnia twego wszystkie przejdą płody...
— O, pójdź!.. —
Więc, zanim zmoże cię tęsknota,
Nim przekklniesz jednodniowe gody,
— O, pójdź!.. —
— O, pójdź...
— O, pójdź! —

HYMN ŻYCIA.

MARJI KONOPNICKIEJ.

Oto się modlę w olbrzymiej świątyni,
Dźwigniętej na kolumnach smukłopiennych sosen
I jasną szybą lazuru nakrytej...
Oto się modlę...
Zniczowi świata duch mój pokłon czyni
Za najjaśniejszą z wiosen,
Co najgorętsze mi zapala świty!..
Oto się modlę...
Hymn wniebowstępny z piersi mojej płynie
Falą miłości, falą zachwycenia —
I z mroków Prawda mi się wypromienia
W cudu godzinie...

. . . .

Błogosławione bądź słońce!..

. . . .

Oto śmierć w mgły się rozwiewa błękitne,
W mgły nieuchwytne —
I drżące...
A tam, na kwietnej, na mistycznej łące
Źródło miłości sił wytryskiem bije...
Duch i materja czerpie zeń — i żyje..

. . . .

Błogosławione bądź, słońce!..

. . . .

Oto się modlę w olbrzymiej świątyni,
Dźwigniętej na kolumnach smukłopiennych sosen
I jasną szybą lazuru nakrytej...
Oto się modlę...
Zniczowi świata duch mój pokłon czyni
Za najjaśniejszą z wiosen,
Co najgorętsze mi zapala świty...
Oto się modlę...
I wszystko ze mną modli się dokoła—
Hosanna! świat cały woła.

. . . .

Dąb rozłożysty sękate ramiona
Wznosi ku górze,
Przy nim płacząca brzoza umajona
I dzikie róże...
Mchy leśne, leśne paprocie,
Porosty i liszaje—
Wszystko, w słonecznem skąpane złocie,
Radosny okrzyk wydaje:
Hosanna!..
A te dzwoneczki liljowe
Przesłodką tchnące wonią—
Na życie nowe, na życie nowe
Dzwonią... i dzwonią...
Zaś wyżej, w gałęziach drzew,
Zbudzone ze snu ptaki—
Na różną nutę, w takt wieloraki
Rozgłośny zawodzą śpiew:

O złote, promienne słońce...
Hosanna!..
O kwiaty wiosny wschodzące...
Hosanna!..
O, dniu, co idziesz po nocy...
Hosanna!..
O, twórcza, tajemna mocy...
Hosanna!..

O, TEN KIELICH GORYCZY...

O, ten kielich goryczy weź odemnie, Panie!..

. . . .

Czemu, gdy wszystko w gęstym mroku tonie,
Gdy niedostępne szczyty i otchłanie,
Gdy tajemnicą wieczną Ty i ja—
Czemu mam pewność, że to, co się w łonie
Mojego ducha poczęło,
Jedyne moje wielkie ukochanie,
Co razem z Tobą i mną wiecznie trwa,
Ani się Twojej dłoni pokornem nie stanie,
Ani się w moje nie przewcieli dzieło...

. . . .

O, ten kielich goryczy weź odemnie, Panie!..

. . . .

Niech dusza moja, niby organ, gra
Na Twoją chwałę...
Niech w powszechnego ładu wsłucha się wspaniałe
I harmonijne dźwięki,
Niech zapatrzona w świeżą ruń wiosenną
Obmyje oczy światłością promienną,
Co się z różanej wylewa jutrzenki...
Niech Ciebie tylko wielbi we wszechświecie,
I niech zapomni tę Moc bezimienną,
Tę Moc, co stopą swą zarówne gniecie
Ciebie i mnie!..

. . . .

O, bo mnie wielkość Twa nie zwiedzie, nie!..
Jam Ciebie widział na Oliwnej górze
Zapatrzonego w te same otchłanie,
W które ja patrzę —
I blask ogromny Twej chwały nie zatrze
Tego wspomnienia!
Wiem, o czemś dumał w tej krwawej godzinie
W tęsknoty swojej beznadziejnej chmurze:
— Ty dla tej Mocy szukałeś imienia
Tak, jak go szukam — ja!..

. . . .

I wiem, wiem do dna, co się wtedy działo
W twojego ducha przepaścistej głębi,
Co w niej w godzinie cudu powstawało,
Co się namiętnie do życia zrywało —
Ja wiem...
Bo w mojej duszy ten sam się dziś kłębi
Wężowy chaos beznadziejnych pytań,
Ten sam migoce blask,
Ten sam się pali żar
Błyskawicowych, wnet gasnących świtań!..

. . . .

Więc zmień mię, Panie, za bluźniercze słowa
W nieczuły, martwy głaz!..
Niech dusza moja stanie się jałowa,
Jak wysuszona żarem pustyń gleba!..
Niech skrzydła moje, co sięgają nieba,
Złamie Twój piorun —
— Niech pełzam, jak płaz!

Ale mi za to wyłup te źrenice,
Co podpatrzyły Twoją tajemnicę,
Co podpatrzyły moją tajemnicę—
I niech oślepnę już na wieczny czas!..

. . . .

O, ten kielich goryczy weź odemnie, Panie!..

WIZJA PLATONA.

Hej! po błękitnej drodze dudnią złote koła;
W pędzie białych rumaków rozwiały się grzywy;
Krzepka dłoń ledwie cuglom napiętym podoła:
To Zeus przez firmamentu mknie słoneczne niwy...
Za nim orszak bóstw radosny
Sunie w kraje wiecznej wiosny...
Boskim śmiechem drżą przestrzenie:
Ha... ha... ha...
A z mgieł sinych migotania
Tłum bezładny się wyłania...
Niezliczone płyną cienie,
Same, niby mgła...

Hej! po błękitnej drodze dudnią złote koła...
Jak skrzydła, w lśnień potoku białe wieją szaty...
Ku rubieży, co łączy światy i zaświaty,
Pędzi w szale upojeń drużyna wesoła...

A tam, w dali, w tęsknocie do lepszego bytu,
Walcząc z szaleństwem rozhukanych koni,
Przezroczym szlakiem błękitu
Duchów płomiennych tłum goni...
Mdleją osłabłe ręce, zawrót chwyta głowy,
Na oczy spada mgła...
A przed nimi radości śmiech leci echowy:
Ha... ha... ha!..

. . . .

Cisza... ogromna cisza... Na nieba granicy
Złociste stoją rydwany.·.
Cugle wypadły z krzepkich rąk woźnicy,
Oczy błądzą po morskiej roztoczy świetlanej...
Szum jakiś głuchy z fal odwiecznych płynie...
Olbrzymie słońce w krwawych łunach wschodzi...
— Nim chwila wschodu przeminie —
Światu się gieńjusz narodzi...

Cisza... Wieczności płyną w bezkres fale...
Wszechświat się zwolna obraca w orbicie...
Ku wytężonym oczom zbliżają się dale...
W złotych blaskach słonecznych wyjaśnia się życie...
Niema już tajemnicy... Śmierć traci swe prawa...
Krzywda — sprawiedliwości staje się wyrokiem...
. . . .
Cisza... Przed zadumanym bóstw i mędrców wzro-
[kiem
Jedyna niezawodna przesuwa się jawa...

EKSTAZA.

W niemej, słodkiej ekstazie boskiego zachwytu,
Co mdłą ludzką istotę zaklęciem przemienia
W płomień, bijący w niebo — wśród gwiazd srebrnych
[lśnienia
Stoję — zgoła ziemskiego już niepomny bytu.
Bo oto cud się dzieje: z gęstych mgławic mytu,
Na wszechpotężne „stań się" tęsknego pragnienia—
Świat mi się jakiś nowy nagle wypromienia,
Cały z woni liljowej, przymgleń i błękitu...

Swiat harmońji i piękna... Jak z karty olbrzymiej,
Gdzie strunami są czucia, zachwytem napięte —
Płyną w przestrzeń modlitwy, hymny płyną święte,
Wonne, jak nikły opar, co z łąk bujnych dymi...
Słucham tej wielkiej pieśni — i gorące łzy mi
Cieką z oczu, a serce, nagłą czcią przejęte,
Wszystko to, co ogromne, szczytne, niepojęte
Razem ze śpiewakami wielbi natchnionymi.

A pieśń się wzmaga, rośnie — i obmywa duchy
Ze wszelkiego skalania i ze wszelkiej zmazy —
W płomiennem rozmodleniu najświętszej ekstazy
Wszystko, co trwa i cierpi — targa swe łańcuchy:
Słowik, co rzuca w ciszę namiętne wybuchy
Tęsknoty — i najtwardszych serc roztkliwia głazy,
Kwiat, co woni słodkiemi skarży się wyrazy,
Kamień, co ból istnienia zamknął w piersi głuchej —

Dusza całego świata, w rytm wieczny ujęta,

W tem mojem niebie żyje, i kocha, i śpiewa —
Uszlachetniona bólem i miłością święta...
Słucham... A noc gwiaździsta w pierś mą spokój
[wlewa
I z mroków idzie ku mnie słodka, uśmiechnięta
Mądrość — wszechmiłująca, nieśmiertelna Dziewa!...

Z ROZMYŚLAŃ

PÓJDĘ ZA TOBĄ...

Pójdę za tobą... W twej samotnej grocie
Tak cudnie błyszczą zimne stalaktyty.
Wicher porywów zamarza w przelocie,
W szron się ścinają płomienne zachwyty.
Duma u wejścia stanęła na straży —
Marzy o berle, o szczęściu — nie marzy...

Pójdę za tobą... Smukłe palmy moje
Niechaj dla innych baśń rozkoszy gędzą...
Wschodniej tkaniny tęczobarwne zwoje
Już mię nie znęcą jedwabistą przędzą...
Fontanna szmerem — co pogłębia ciszę —
Ponurej duszy mej nie ukołysze...

Pójdę za tobą... Przez wyłom w sklepieniu
Zagląda księżyc wystygły i blady...
Ostrza lodowe czają się w półcieniu,
Niby sztylety zawiści i zdrady...
Każdy w pierś moją godzi klingą siną —
Myśl moja czuwa — sny jutrzniane giną.

Pójdę za tobą... Nie wschodu szkarłatem
Ale mi zorzą zabłysłaś polarną —
A jeśli będziesz mego szczęścia katem,
Jeśli za życie dasz mi trumnę czarną —
To cię milczącą duszy mej żałobą
Uczczę — za mądry Ból...

Pójdę za tobą...

Z KSIĘGI DOŚWIADCZEŃ.

O wiośnie życia ludzki duch
Jaskółcze miewa loty:
W niespokojnego pędu ruch
Rruca go szał tęsknoty.
Z trzepotem skrzydeł naprzód mknie,
Nie wiedząc, gdzie i po co?..
I raz mu skrzydła blakną w mgle,
To znów się w słońcu złocą.
Jak upojony wiosną ptak,
Nie spocznie ani chwili...
Zrazu go każdy nęci szlak —
I każdy w końcu myli.

Lecz, gdy jesiennych wichry burz
Ostudzą czcze zapały —
Płochej gonitwy dość ma już,
Ostoi szuka trwałej.
Wówczas nad kłęby zwartych chmur
Szybuje orlim lotem,
Gdzie śnieżny szczyt najwyższej z gór
Wystrzela w niebo grotem.
I gniazdo sobie ściele tam,
Choć twarde, lecz bezpieczne,
By z myślą swoją sam-na-sam
Rozważać — prawdy wieczne.

PRÓCHNO ŚWIECI W BORZE.

Szczęście?..
W pochmurnym, prawiekowym borze
Świeci się próchno... Idą tęskne dusze
I patrzą w światło, i śnią — złote zorze...
A ja się łzami palącemi krztuszę,
A ja się zrywam, i podnoszę pięście,
I grożę — gwiazdom spadającym... Szczęście...

A ty, błękicie, milcz!.. Niech głos zaświata
Nie łudzi prochu... Niechaj kwitną róże,
Róże na grobach — a więzienna krata
Niech się ukryje w bluszczach, co po murze
Pełzną, jak węże... Czarę w dłoń!.. To — życie!..

Przestańcie śpiewać, gwiazdy!.. Milcz, błękicie!..

Zakwitł mi dziwny kwiat, kwiat cudnie biały;
Pachniał przez całą długą noc—tak słodko...

Miłość... czar pieśni... gwiaździsty sen chwały...

A nimfy w lesie bawiły się plotką,
A faun się śmiał... Na białym, cudnym kwiecie
Kropelka krwi... A resztę sami wiecie —
Próchno... Daleki widzę brzeg... do łodzi!..
Niech pluszcze wiosło w martwej ciemnej fali...

Eviva l'arte!.. My silni, my młodzi!..
Dla nas się jutrznia gdzieś wchodząca pali...

Mój cudny, biały kwiat...
Precz, głupie wiosła!..
Niechaj mię fala niesie tam — gdzie niosła.

Na wznak się kładę w łodzi... Ciszy, ciszy!..
Lub nie! — zapiszę moje sny na wodzie...

Fala się wzdyma, jak pierś — i tak dyszy...

Na dnie jest pałac w kwitnącym ogrodzie,
Zaczarowana jest królewna może
I — stary wodnik...
Próchno świeci w borze...

PTAK MŁODOŚCI.

Przez te różano-złote fale,
Co wczesnym rankiem z nieba płyną,
I przez te wonnych ros opale,
Co swą jasnością srebrnosiną
O zmierzchu lśnią nad łąk równiną;
Po księżycowych blasków szlaku,
Po mgłach, gdy nocą świat owiną, —
Biegłem za tobą, rajski ptaku,
W nieskończoności senne dale...

I nieraz, nieraz mi wspaniale
Jaśniały skrzydeł twoich tęcze,
I na przezroczych wód kryształe
Chwiały się lotów twych obręcze...
I biegłem po przez gór przełęcze,
Po szczeblach marzeń i zachwytu,
Gdzie mgły rozwiewne i pajęcze
Sunęły lekko w stronę świtu,
W nieskończoności senne dale...

I nieraz w krwawych tęsknot szale
W morskie rzucałem się odmęty,
Mijałem perły i korale —
Wezgłowie nimfy uśmiechniętej,
Bo śpiew mnie wabił wniebowzięty,
Twój śpiew, co głosi piękno wieczne —
Świat jakiś wielki, niepojęty,
I zawsze złote i słoneczne
Nieskończoności senne dale...

Dzisiaj nie skarżę się, nie żalę...
Nie zmarnowałem dni żywota,
I zawszem gotów biedz w zapale,
Gdzie święta wiedzie mię tęsknota...
Niech innych poi czara zlota,
W której rozkoszy kipi wino —
Mnie chwila w sieć swą nie omota!...
Ptak zginął z oczu — lecz nie zginą
Nieskończoności senne dale...

NA CMENTARZU.

Wszystko, co było — było tylko snem,
Ułudą, marą...
Prawdą jest jedno: Śmierć mogilnym tchem
Niszczy, zabija najbujniejsze kwiaty,
Z najśmielszych lotów szydzi duch Zatraty —
On — moją wiarą.

On moją wiarą... Wszystko było snem —
Sen rychło mija...
Więc czemu, serce, prawdę mienisz złem?
Czemu się krwawisz w daremnej rozpaczy?
Śmierć nawet spojrzeć na twe łzy nie raczy —
Idzie — zabija...

Idzie — zabija... Oto cichy grób —
I wszystko moje...
Powiędłe liście leżą u mych stóp,
Jak niemy symbol, jak wyrok okrutny...
Wicher jesienny śpiewa psalm pokutny —
Łez płyną zdroje...

Łez płyną zdroje... Oto cichy grób
I krzyż kamienny...
Śmierć poszła dalej, zostawiwszy łup...
Kielich boleści wychylony do dna...
Jedna jest prawda, nigdy niezawodna:
Ten spokój senny...

Zwieszony tęsknie nad krawędzią bytu,
Wzrokiem — jak kamień lecącym w otchłanie —
Spoglądam w wieczność... Trwożny chłód zachwytu
Dech mi zapiera i krew w żyłach ścina.

Dokoła szumi wielkie świata łkanie,
Świata, co próżno tęskni i przeklina —
I ramion dwojgiem, wzniesionych ku górze —
Ducha jasności, lśniącego w purpurze
Świtów — daremnie błaga o poznanie...

U stóp się moich toczy, jak lawina
Czas... wieki szumią — jak wzdęte bałwany...
Czuję na twarzy wiew chłodny i silny,
Jak w katakumbach śmierci dech mogilny,
A w ustach, w gardle — ostrą gorycz piany...
Wizje przeszłości, zmieszane pospołu
Z dzisiejszej doby mdłemi obrazami,
Mkną przed mym wzrokiem z szybkością wi-
[chury...
Pieśni rapsodów dochodzą mnie z dołu,
Słyszę gwar bitwy, dźwięk dzwonów ponury,
Każą prorocy, jęczą męczennicy —
I idą całe ludy za ludami
W dal — przesłoniętą mrokiem tajemnicy.
O, tęskna duszo!.. daremnie, daremnie
Chcesz przejrzeć mgieł tych nieprzejrzane ciemnie,
Co zawisają tam — gdzieś — w sinej dali...
Żar, co się w łonie twem jak płomień pali —

Jest klątwą — zdawna rzuconą na ludzi;
Co wiek z jednaką, niezmienną potęgą
W duszach przeklętych on znowu się budzi...

Patrz! niebo krwawą spłonilo się wstęgą
I z hukiem gromu zabrzmiał głos:
— Idź dalej!..

NA LUTNI SŁOŃCA.

O POŁUDNIOWEJ GODZINIE.

O południowej godzinie,
W ogromnem jaśnieniu słońca,
Po niezmierzonej równinie
Łąk —
Idzie ma dusza tęskniąca
W dal, co w błękitnych mgłach ginie,
I szuka daremnie końca
Mąk...
U stóp jej wiosenne kwiaty
Mienią się barwnie, jak tęcza...
Wiatr niesie mdłe aromaty
Ziół...
Równie błękitom zaręcza
Spokoju Anioł skrzydlaty —
I ciszą sady uwieńcza
Siół...
Tylko zdaleka, zdaleka,
Ze szczytów jodłowej góry —
Zda się, stugłosy narzeka
Chór...
I psalm, podobny do chmury,
Niebo mi cieniem powleka...
To tak się modli ponury
Bór...

DAJ MI SWE RÓŻE...

Daj mi swe róże wonne, daj mi róże...
Ja wiem, pod nami otchłań śmiercią zionie...
Ale ja w kwiatach nurzam drżące dłonie,
A razem z dłońmi i serce zanurzę...
Daj mi swe róże wonne, daj mi róże...

Szkoda ci bujne pustoszyć ogrody,
O, bo te kwiaty, to twój skarb jedyny.
Tam wypoczynków twych płyną godziny,
Tam zapomnieniem dźwięczy śmiech twój młody —
Szkoda ci bujne pustoszyć ogrody...

Lecz spojrzyj, piękna: słońce u zenitu,
Południe idzie, skwarem śmierci tchnące...
Nie dasz mi kwiecia — to je spali słońce,
I zgaśnie uśmiech omdlały zachwytu...
O, spojrzyj, piękna — słońce u zenitu!...

Daj mi swe róże wonne, daj mi róże!
Ja wiem, pod nami otchłań śmiercią zionie,
Ale tak słodko upajają wonie...
Rozchylam wargi, senne oczy mrużę...
Daj mi swe róże wonne, daj mi róże!...

Och! wieniec tobie plotę,
Lecz z jakich kwiatów!
Aż mi się słońce złote
Uśmiecha z góry,
Bo taki żar szkarłatów,
Takie purpury
Olśniły nawet słońce złote!...

Taki ci wieniec plotę
I z takich kwiatów!

Rzucę te kwietne sznury
Na mgłę zaświatów,
Skąd jakiś duch ponury
Sieje tęsknotę.
Zasypię gwiazd martwotę
Bezmiarem kwiatów
Skryję cmentarnych płyt marmury
I krew stygmatów
Pod morzem kwiatów!

Taki ci wieniec plotę
I z takich kwiatów!...

O purpurowy, płomienisty kwiecie,
O dumna gajów kwitnących sułtanko,
Zakryj swe pełne i nęcące łono!...

— Oto w krwi mojej szumne wrą zamiecie,
Oto przed pyszną Milońską poganką
Biję pokłony głową rozognioną...
— O, płomienisty kwiecie!...

Na ciemnem niebie wschodzą gwiazdy złote,
W ciszy coś dzwoni, jak gwarny brzęk ula,
Cień białej brzozy majaczeje w dali...

— Ja z ogniów moich krwawy wieniec plotę,
I przed posągiem, który noc otula,
Składam objatę z płonących korali...
— O, gwiazdy złote!...

. . . .

Gdzie moja biała Psyche,
Gdzie sny błękitne, ciche,
Gdzie moja pieśń natchniona,
Gdzie tęsknot święte łzy?...

Noc idzie przenamiętna...
Zdwojone huczą tętna...
I prężą się ramiona —
I pierś — pragnieniem drży...

. . . .

O przyjdź, godzino cudu, godzino rozkoszy...
Niechaj prąd wszechmogący moją łódź pochwyci
Na swoje śnieżne od pian wrzących łono...
Niechaj krzyk upojenia myśl bolesną spłoszy,
Niech głód życia miłości pełna czara syci!...
Uwieńcz mię, nocy, bluszczową koroną...
Uwieńcz mię, nocy!...

. . . .

Kocham...
A serce moje jest jak lutnia drżąca
Pod srebrnym kręgiem miesiąca.
Kocham...
A usta moje są — jak dwa płomienie,
A cały jestem — pragnienie!...
Rzucam się w ros perlistych tęczowe kaskady
U stóp bogini bladej,
I drżę, i krzyczę w męce, i cichnę, i szlocham,
I kocham, kocham... kocham...

Kiedy myślę, jedyna, o twojego ciała
Bujnych ponętach — nagle przedemną zakwita
Pyszny, podzwrotnikowy gaj, i w słońcu pała
Tysiącem barw — i głosów tysiącem mię wita;
Blasków złotych kaskada spływa nań wspaniała,
Kipiący odmęt życia w swe wiry mię chwyta —
Dźwięki i wonie w pieśń się łączą niemilknącą,
Słodką jak miód, jak moje pragnienie gorącą.

Kiedy myślę, jedyna, o twojego oka
Niezgłębionych przepaściach — jawi się przedemną
Wizja zapatrzonego w sny swoje proroka,
Któremu przyszłość straszną zdaje się i ciemną...
Taka w nich myśl ogromna i boleść głęboka,
Taką jakąś zadumą zasnute tajemną,
Że świętą ciebie wówczas razem i Niobą
Widząc — chciałbym w pokorze na twarz paść przed
[tobą.

Kiedy myślę, jedyna, o twojego serca
Słodyczy — gołąb biały wnet w skrzydła trzepoce...
Oczy moje się gubią pośród łąk kobierca —
I czuję zapach, jakim tchną majowe noce...
I ja — wobec wszystkiego cynik i szyderca,
Błądzący w beznadziejnej zwątpienia pomroce —
Dziecięciem się niewinnem staję w jednej chwili
I słucham — naiwnego szczebiotu idylli...

A kiedy o twej duszy pomyśleć się ważę,
Com sobie za zuchwalstwo sam poczytać gotów —

Widzę greckich posągów marmurowe twarze,
Bielejące wśród czerni nikczemnych helotów...
I jako bóstwu chciałbym ci wznosić ołtarze
I świątynie budować — gwiaździstych namiotów
Sięgające kolumny, — i mleczne na niebie
Drogi napiąć, jak struny, by śpiewać — dla ciebie....

Więc nie dziw się, jedyna, że w pieśni miłosnej,
Którą przed twe królewskie stopy niosę w darze,
Znajdziesz i echa burzy, i szelesty wiosny,
I modlitwy pokorne z szeptem żądzy w parze;
Że jęk bólu zamąci hymn szczęścia radosny,
Lub że ci gorzki piołun dam w złotym puharze —
Bo ty, coś tylu różnych piękności obrazem,
Na wszystkich strunach duszy mej zagrałaś — razem!

I.

Białe konwalje lecą, lecą
Z twych świeżych ust, dziewczyno!
Perłami wonnej rosy świecą,
Na serce miękkie płatki ronią —
I upajają mnie swą wonią
Jak wino — och! jak wino!

Mów! mów!... Niech pachnie białe kwiecie,
Niech rzeźwi słabą duszę!...
Nim zwiędłe puchy wiatr rozmiecie,
Ja może wskrzesnę twoją wiosną,
Może mi skrzydła znów odrosną —
O szczęście się pokuszę...

II.

Westchnienia twego czar dziewiczy
O struny lutni mojej trąca —
I lutnia moja z bólu mdleje,
Że na jej strunach — rdza hańbiąca.

Tyle błękitu i słodyczy,
Tyle mi w duszę rzucasz słońca —
I dusza moja z bólu mdleje,
Że już skazana jest — i mrąca...

III.

W oczach masz jasność sennej fali
I nieskończonej cichość dali —

Lecz na twych cudnych, cudnych ustach
Płomień tajonych snów się pali...

I może właśnie szczęście moje
Kryją twych oczu jasne zdroje—
A mnie tam szukać go niewolno,
Bo się o róże ust twych boję...

IV.

Do twych kochanych stóp
Znękaną tulę głowę—
I roję cudne sny,
I roję sny liljowe.

Nademną szczęścia ptak
Przelata w skrzydeł biciu...

. . . .

O, nie broń mi tych snów,
Tych snów—ostatnich w życiu...

NIEWOLNO MI O TOBIE ŚNIĆ.

I.

Niewolno mi o tobie śnić
I kochać cię, dziewczyno,
Kto inny będzie z ust twych pić
Najsłodsze pieszczot wino.

Tęczowa marzeń moich nić
Zerwała się, dziewczyno,
I trzeba mi uczucia kryć—
Czy miną, czy nie miną...

Spokojnie w drogę swoją idź
I kwiaty rwij, dziewczyno;
Bez twoich oczu muszę żyć,
Choć z moich—łzy popłyną.

Nie możesz ty mi szczęściem być
I pieśnią mą jedyną;
Niewolno mi o tobie śnić
I kochać cię, dziewczyno...

II.

Na rozstanie, pożegnanie
Piosnkę rzucam znów...
I stłumione serca łkanie,
Sny, co ziścić się nie mogą—
Kwiat, co zakwitł nade drogą—
Niosę ci tu na rozstanie
W garstce śpiewnych słów...

Hej, dziewczyno... sny przeminą,
    Wyschnie szczęścia zdrój...
Ale piosnki w dal popłyną
I poniosą z sobą światu
Blask słoneczny, zapach kwiatu —
I ten uśmiech twój, dziewczyno,
    I ten uśmiech twój... .

Na rozstanie, pożegnanie
    Piosnkę rzucam znów...

III.

O, cichy, jasny, słoneczny dzień —
Czemu tak szybko na czasu fali
    Zniknął w oddali
    I skrył się w cień —
Ten cichy, jasny, słoneczny dzień...

Nieśmiałych marzeń błękitny kwiat
Więdnącą główkę ku ziemi chyli—
    Minionej chwili
    Nie wróci świat...
Nieśmiałych marzeń więdnie już kwiat...

I serce, pełne bolesnych drżeń,
Na szarość życia próżno się żali...
    Zniknął w oddali
    I skrył się w cień —
Ten cichy, jasny, słoneczny dzień...

BÓL.

. . . . .

Na złotej gęśli miesiąca,
W którą noc bije skrzydłami,
Drży jakaś struna łkająca
I płacze cichemi łzami...
Płacz senny spokój zamąca,
Rdza lilje srebrzyste plami —
I idzie gdzieś w dal bez końca
Szmerami i westchnieniami...

A dusza — jak upiorzyca,
Odbija trumienne nity —
I cichą białością lica
W gwiazdziste patrzy błękity...
Głód wieczny złudą zasyca,
Rwie kwiaty z grobowej płyty —
I śni, że trysła krynica,
Wiecznymi płynna zachwyty...

Z JEDWABNEJ MARZEŃ MOICH PRZĘDZY.

Z jedwabnej marzeń moich przędzy
Śmiertelne ci uścielę łoże
I kwieciem wiosny cię przysypię—
I zaśniesz tak po życia nędzy,
Jak motyl, gdy go rozkosz zmoże—
— A ja upiję się na stypie.

I zaśniesz, pieśni moja cicha,
Jak biała lilja, gdy usycha...
— A ja—upiję się na stypie...

* *
*

Z tych róż, co tobie śmierć przyniosły,
Godowy wieniec sobie splotę,
Godowe na się wdzieję szaty...
Zapomnę ciernie, co w skroń wrosły,
Zapomnę wrzącą z gwiazd tęsknotę,
I na różane legnę maty...

Z zapachem dźwięki harf się spłyną,—
Ja będę słuchał i pił wino,
I na różane legnę maty...

* *
*

Okolą mnie hurysy młode
Z płomiennem okiem, piersią białą
I jedwabistych włosów falą...

A ja bezwstydną ich urodę
Źrenicą będę ssał omdlałą,
I żądze — ducha we mnie spalą...

I zaśniesz, pieśni moja cicha,
Jak biała lilja, gdy usycha —
— A we mnie żądze ducha spalą...

HEU, QUANTUM HAEC NIOBE...

I.

Stoi, jak słup kamienny, z rozpuszonym włosem,
Ze stężałemi w bólu piekielnym ramiony...
Krzyk zamarł na jej ustach — nie skarży się głosem,
Co przed chwilą bił w niebo, jak płomień czerwony;
Już się przed swoim strasznym ukorzyła losem
I wie, że jest konieczny i nieunikniony —
Wie wszystko i rozumie — — i bezmyślnem okiem
Spogląda w przepaść, chłodem ziejąca i mrokiem.

U stóp jej leżą trupy jej zabitych dzieci,
Dwanaście ciał, resztkami życia jeszcze ciepłych;
Na ich przezroczej bieli krew purpurą świeci,
Ciekąc z ran w kroplach wielkich i w rubiny skrzepłych;
Nic już, nic, nic iskierki życia nie roznieci
W tych oczach, co z pod włosów do czoła przylepłych
Patrzą dziko, przedśmiertną rozszerzone trwogą...
I wszystko już minęło, i nic... i nikogo!...

A tam — na swego domu kamiennym tarasie
Leży trup jej małżonka złotowłosy, młody...
Dumne czoło rycerza śmiercią gardzić zda się,
W źrenicach nie ma lęku, lecz wyraz pogody...
Bo on, konając — wspomniał, jak się zemstą pasie
Wróg, widząc strach ofiary — i jakby na gody
Z uśmiechem zstąpił w ciemne Hadesu otchłanie
I padł na głaz, jak gdyby na kwietne posłanie.

Niobe stoi martwa... Tam zaś z ciemnej chmury
Trzech bóstw się wyłaniają mściwe, srogie lica,
Wzrok Latony szyderski, Appolla ponury,
A zimna i okrutna Łowczyni źrenica.
Niobe stoi martwa... Nie wzniesie do góry
Pięści, nie ryknie klątwą, jak rozżarta lwica...
Ból chłodnem tchnieniem śmierci powiał nad jej głową
I zaklął ją w statuę żalu marmurową...

. . . .

II.

Cicha, drętwa, podobna do greckiej kolumny,
Co dźwigała brzemienne popiołami urny,
Wlepia w dal wzrok posępny, mglisty, bezrozumny
I stoi tak w zadumie jakiejś do dna chmurnej....
Po gaju, pełnym kwiecia, przewiał wicher szumny
I w harfach brzóz załkały rozpaczne nokturny —
A dusza stoi senna, niema, zapatrzona —
Bezradnie opuściwszy niemocne ramiona...

U stóp jej zeszłorocznej wiosny leżą kwiaty —
Zwiędłe, szare, stopami rozdeptane w pyle;
Ona wzrokiem pamięci widzi ich szkarłaty,
Co wabiły o skrzydłach tęczowych motyle...
Słodkie, upajające zmysły aromaty
Przypomniały jej szczęście, co legło w mogile,
Lecz wicher znowu w gęstwie zahuczał złowrogo —
I wszystko już minęło... i nic... i nikogo!...

Tam — w kryształowej trumnie z marzeń i tęsknoty
Leży trup o przepysznych kształtach bohatera;

Kto to? — to rdzeń, to światło jasne jej istoty,
Co dziś bez swojej duszy stygnie i umiera...
To ów gieńjusz, co daje potęgę i wzloty
I światy ideału zaklęciem otwiera,
Mocarz, co się przed nikim i niczem nie skłoni —
I śmierci samej kosę umie wydrzeć z dłoni.

Na drzewie siedzi satyr; w sprężyste swe palce
Ujął fletnię i zadął — i nagle wśród ciszy
Zaśmiała się pieśń dzika; tony — jak padalce
Gryzą serce irońją.... gaj szyderstwem dyszy,
A dusza, wyczerpana po śmiertelnej walce,
Stoi wciąż, nic nie widzi, nic zgoła nie słyszy...
Ból chłodnem tchnieniem śmierci przewiał nad jej głową
I zaklął ją w statuę żalu marmurową.

UPIÓR.

W ogrodzie mojego ducha
Upiór się błąka krwawy,
Po kwiatach stąpa wiosennych,
Pachnące depce trawy...
Kościste załamał ręce,
Na pierś pochylił głowę,
A z czarnych mu oczodołów
Łzy cieką purpurowe...

I płacze widmo cmentarne—
I płacze widmo blade,
Że matką mu jest nienawiść,
Że musi siać zagładę—
„— O, Boże!—woła przeklęty—
O, Wszechmogący Boże!
Czyż moich żarów piekielnych
Krwi nie ugasi morze?...
Czyż wiecznie będę się tułał
Ze spieczonemi usty,
Z żagwią płonącą miast serca
W piersi—jak otchłań pustej?..."
W ogrodzie mojego ducha
Upiór się błąka krwawy—
Po kwiatach stąpa wiosennych,
Pachnące depce trawy...
A kiedy zajrzy mi w oczy,
Dusza się we mnie wzdryga:
Ten nędzarz cały Ból świata
Na swoich barkach dźwiga...

I zapisane jest w księdze
Wyrocznej Przeznaczenia —
Że będzie musiał go dźwigać
Do ostatniego tchnienia;
Że będzie musiał go dźwigać
Aż do tej jutrzni złotej,
Którą na niebie zapali
Łkający Duch tęsknoty.
A wówczas Miłość słoneczna
Zdejmie zeń krwawe brzemię —
I w cichą trumnę go złoży,
I uraduje ziemię...

ROZPIĘŁAŚ MĄ DUSZĘ NA KRZYŻU.

Rozpięłaś mą duszę na krzyżu,
Na krzyżu, co nie da zbawienia,
I serce, ukute ze spiżu,
Zwątliłaś mi rdzą pohańbienia...

Oplwałaś bożyszcze jedyne,
Któremu-m chciał wznosić ołtarze — —
I ginę przez ciebie — i ginę —
I marzę o tobie — i marzę...

— Oh, gdyby — tak myślę sam w sobie —
Na krzyżu męczeńskim rozpięty,
Łzy bólu ku twojej ozdobie
W przeczyste skrysztalić djamenty...

— Oh, gdyby... powtarzam w zachwycie —
Tę krew, co wytrysła z twej winy,
Nim ujdzie z nią gorycz — i życie,
W płomienne przetopić rubiny —

I złożyć królowej mej dumnej
Na czole posępnem i bladem —
Mój dar — pożegnalny dar — z trumny:
Przepyszny i ciężki dyadem.

Łzy wszystkie, krew wszystką dam dla niej,
Szczęśliwym się czując przy zgonie —
Niech tylko ta jasna — ta pani —
W królewskiej znów chodzi koronie.

Bo więcej od krwawej mej doli,
Od gorzkich konania katuszy —
W ostatniej godzinie mię boli
Zdeptany majestat twej duszy...

CHRYZANTEMY.

ACH, WIĘDNĄ KWIATY...

Ach, więdną kwiaty,
Ach, więdną kwiaty cicho i powoli...
Rdzą śmierć powleka ich biel i szkarłaty,
Dlatego tylko, że przyszła ich kolej...
Nie zawiniły nic... Przesłodkie wonie
Niosły każdemu, jak wino, w kielichu —
I nawet skargi nie znają przy zgonie —
I mrą pocichu...

Smutek bezsilny
Z tej śmierci kwiatów sączy się w mą duszę, —
I w jakiś pomrok zapadam mogilny,
I łez wewnętrznych goryczą się krztuszę...
Lecz próżno serce ściska się i boli:
Wszystko, co piękne, niszczy duch zatraty...
Ach, więdną kwiaty cicho i powoli —
Ach!, więdną kwiaty...

. . . . .

Na powiędłych liściach cicho mrących róż
Jesiennego deszczu chłodne skrzą się łzy...
Pójdź, o dziewczę moje, skroń na pierś mą złóż...
Jakieś dziwnie smutne szczęście mi się śni...

Czemu drżysz, jedyna, jak na wietrze liść?...
Czemu w oczach twoich taki gorzki żal?...
Wierz mi, to tak dobrze w mgłach jesiennych iść
Po nieznane szczęście, gdzieś — w nieznaną dal...

PRELUDJUM JESIENNE.

ELIZIE ORZESZKOWEJ.

Słyszę ogromną pieśń harfianą,
Przesmutną pieśń...

. . . .

Posępne, szare wstaje rano,
W powietrzu czuć wilgotną pleśń —
Przejęte wskroś zadumy ciszą
Rytmicznie gaje się kołyszą...
Słyszę ogromną pieśń harfianą,
Przesmutną pieśń....

Sen to — czy jawa?... W mrocznej niszy,
We wnętrzu granitowej skały,
Gdzie tylko blade lśnią kryształy
I chłodnem tchnieniem pustka dyszy —
Duchów tajemny zasiadł tłum.
Bez ruchu siedzą i bez słowa
Posępne, blade, ciche mary,
I dzwonią w harfy i cytary, —
A w dal ulata pieśń echowa,
Jak wiatru jęk, jak liści szum —
Jak szum...

Sen to — czy jawa?... Ścieżką leśną
Poważnie orszak dziwny kroczy;
Postacie w płaszczach z mgły przezroczej
Idą, wpatrzone w dal bezkreśną,
W błękitną i tumanną dal...

A w tajemniczem owem gronie
Wysmukła, wiotka i powiewna
Rusałka dąży, czy królewna...
Kalina jej uwieńcza skronie,
A w oczach żal, bezbrzeżny żal, —
I beznadziejny żal...

A pieśń — jak wielkich, ciężkich łez kaskada,
Po drzew gałęziach szemrze wciąż i dzwoni —
I na dziewiczej białość skroni
Perłami spadą.
Echo po całym roznosi ją lesie,
Smutkiem jej chłodne przesyca tumany,
A las, boleśnie rozełkany,
Ku ziemi gnie się...

Posępne, szare wstaje rano,
W powietrzu czuć wilgotną pleśń...
Przedemną puste niw rozłogi,
Samotne krzyże, czarne brogi...

. . . .

Słyszę ogromną pieśń harfianą,
Przesmutną pieśń...

NOKTURN JESIENNY.

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej,
Ktoś gra bez przerwy i bez końca...
Rytm monotonny, nieustanny,
Jak ciecz się w serce wlewa żrąca...

Ktoś gra, ktoś gra — i pieśń się żali,
Że nie zna wiosny, nie zna słońca,
Że jej wśród mgieł jesiennych fali
Każą tak łkać i łkać bez końca...

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej
I moich nocy sny zamąca...
Rytm monotonny, nieustanny
W gorzką apatję duszę wtrąca...

Ktoś gra, ktoś gra w posępnej dali,
Jakaś dłoń senna, czy mdlejąca...
I pieśń się żali, serce żali —
Na chmurne noce, dni bez słońca...

FIAT.

Rozpaczna skarga więdnących liści
Odgłosem w piersi mojej drży...
Sen szczęścia rzadko, rzadko się iści,
Za to tak często płyną łzy...

Snuje się, czepia głogów i tarni
Pajęczej przędzy srebrna nić...
Próżno łka serce: ziemio, przygarnij!...
Wiatr odpowiada: precz stąd idź...

Po nagich polach tuman się włóczy,
Jak widmo w strzępach brudnych szmat...
Hej — śmierć z tej mglistej wyziera tuczy,
Spojrzeniem w lenno biorąc świat.

I cichnie serca łkanie bolesne
Po stracie jasnych, drogich złud...
A duch — w te równie patrząc bezkresne —
Wiecznych ukojeń wita cud...

ŁUNY WIECZORNE

O ZACHODZIE.

Jak czarę z porfiru i złota,
Na zmierzchu biesiadzie
Tajemnej —
Ktoś słońce
Gasnące
W dół miota,
W bezwładzie
Za bór rzuca ciemny.

I wnet z uronionej tej czary
Płomienne szkarłaty
Się leją —
I śnieżne,
Bezbrzeżne
Obszary
Jak szaty
Królewskie jaśnieją.

I w chwili zachodu świat cały
Majestat obleka
Nieznany —
I płonie
W koronie
Snu chwały,
I czeka —
Na stare łachmany...

O BŁĘKITNEJ GODZINIE.

Oto w błękitnej godzinie,
Co rozpościera nad światem
Zadumę ciszy,
Jak w złotej baśni krainie
Myśl każda staje się kwiatem
I wonią dyszy.

Snują się myśli, i pachną kwiaty,
I wschodzą gwiazdy złote...
A ja na progu swej białej chaty
Już gościa mam — tęsknotę...

Z mgłą zasnutemi oczyma,
Z uśmiechem smutnym na twarzy,
Cicha i blada,
Co wieczór w drzwiach się zatrzyma
I z tego, co śni, co marzy,
Mnie się spowiada...

Snują się myśli i pachną kwiaty,
I wschodzą gwiazdy złote...
A ja na progu swej białej chaty
Już gościa mam — tęsknotę...

. . . .

W wieńcu z tarniny i głogu
Cień wątły stoi na progu...
Ja w dziwnych tonę snach...

I słyszę, jak w pustce głuchej
Zawodzą, skarżą się duchy,
Skrzydłami biją w mgłach...

Godzina tak za godziną
W zadumie posępnej płyną
Szeregiem cichych fal...
— Ku jakiejś gwieździe dalekiej
Wznoszą się ciężkie powieki—
I wzbiera... wzbiera żal...

MYŚLĘ O TOBIE...

Myślę o tobie... Precz rzuciłem wiosła...
Łódka na sennym chwieje się błękicie...
Fala mi różę więdnącą przyniosła...
— O jakże smutnem bywa czasem życie...
Ta róża kwitnąć musiała na grobie...
Myślę o tobie...

Myślę o tobie... Gdzieś w dali, gdzieś w dali
Dzwony nieszporne łkają tak boleśnie...
— A może to się czyje serce żali,
Że wiosna przeszła, że nigdy nie wskrześnie...
— Tą różą ja ci bladą skroń ozdobię...
Myślę o tobie...

Myślę o tobie... Słońce zwolna gaśnie...
Zgasło... Nad wodą snują się opary...
Może wspomnienie choć na chwilę zaśnie—
Cicho... Mrok pada.... mrok gęsty i szary...
— O, jakże smutny ten kwiat—przy żałobie...
Myślę o tobie.

Marzenie senne!...
Ty mi przemieniasz w wino gwiazd jaśnienie,
Ty mi puhary podajesz płomienne,
Senne marzenie!...

Mój złoty kwiecie,
Wykwitły z ducha pragnień i tęsknoty,
Woń twa o lepszym powiada mi świecie,
Mój kwiecie złoty!...

* * *

W srebrnej poświacie miesiąca,
Uwita z mgły,
Drży jakaś struna łkająca,
Tęsknotą drży...

Jak ciche, smutne westchnienie,
Pieśń płynie w dal,
I w nocne wtapia się cienie
Jej głuchy żal...

A serce, wsłuchane w dźwięki,
Co w ciszy mrą,
Z własnej spowiada się męki
Palącą łzą...

I tak się snują bez końca
Pieśni i łzy...

...Drży jakaś struna łkająca,
Tęsknotą drży...

* *
*

Nim spłoną zorze
I wzgórza złotą nakryją koroną,
Ja się przed nocy majestatem korzę,
Nim zorze spłoną...

Królowo ciszy,
Odkryj mi wielkie twych tajemnic słowo,
Niech myśl je pojmie tak, jak serce słyszy...
Ciszy królowo!...

NOC NAD MORSKIEM OKIEM.

Cisza i spokój śmierci... Senna, głucha fala
Przypadła do stóp głazom, co się piętrzą w górę,
I pogrąża się zwolna w swoje sny ponure,
W zadumę, co wraz z mgłami płynie ku niej zdala...

Cisza i spokój śmierci... *Mnich* w białym kapturze
Szepce swoje odwieczne wieczorne pacierze...
Nawet gwiazdy, wschodzące w martwej atmosferze,
Smutne są, jak na kirach rozsypane róże...

Niby gnomy, wypełzłe ze skalnej szczeliny,
Kosodrzewin garbate majaczeją kuszcze...
Szumią świerki — i fala z głuchym jękiem pluszcze —
I w otchłań czasu zgasłe padają godziny.

* *
*

Nad martwą głębią zastygłych fal
Stoję — wsłuchany w ciszę...
I jakiś wielki, bezbrzeżny żal
Do marzeń mię kołysze...

Wiew chłodny niesie żywiczną woń,
Czuwają gwiazdy złote...
I wśród milczenia skarży się toń
Na gorzką swą tęsknotę...

Nad martwą głębią zastygłych fal
Myśl jakaś drży głęboka...

To wieczność wzrokiem, zimnym — jak stal,
Z Morskiego patrzy Oka.

*   *
*

Swit! — Świt!... Zbudzonych orłów skwir
Zamącił głębi pieśń harfianą...
Pierzcha posępnych cieniów kir —
I na mistycznych struny lir
Poranek kładzie dłoń różaną...

Świt! — Świt!... Z jeziora pierzcha mgła...
Na wierchach śnieżne lśnią kryształy...
Na fali róż i złoto drga...
Świt!.. Świt!... Radosny tryumf dnia,
Co idzie jasny i wspaniały. —

*   *
*

Odchodzę... Wielka przeminęła chwila...
Samotne limby szumią mi po drodze...
Z mgieł się porannych czarny krzyż wychyla,
A ja — ku równiom nizinnym odchodzę.
Lecz w duszy mojej na wieki zostanie
Ta noc, przeżyta w mrokach, smutku, trwodze...
Zajrzałem w groźne tajemnic otchłanie
I znów — ku równiom nizinnym odchodzę...

MELANCHOLJA.

RONDO.

Na wybrzeżu niegościnnych mórz
Martwy piasek płonął w żarach słońca,
Pustka była bolesna, milcząca,
Cisza trwała od zórz aż do zórz...
— Gdy dłoń jakaś dobra, miłująca,
Zasadziła tu krzew polnych róż...

Róża kwitnie... głuchą ciszę zmąca
Wiatr, zwabiony przez jej kwiecie kruż,
O jej stopy pieszczotliwie trąca
Fala morska — z mętnych dążąc łóż...

A gdy przyjdzie gwiazdami błyszcząca
Noc — i księżyc spoziera z za wzgórz —
Wstają tłumy potępionych dusz
Z tych fal morskich bez dna i bez końca,
Przywabione słodką wonią róż...

SAMOTNY KRZYŻ.

Kona w purpurze jesienne słońce —
W krwawej purpurze...
Mgły się wilgotne włóczą po łące,
Podobne gęstej, skłębionej chmurze...
Nuda i szarość schodzą na pola...
W dzwonnicy jęczy, skarży się spiż...
Smutny i czarny—jak ludzka dola,
W krwawej pożodze
Stoi przy drodze
Samotny krzyż...

Na krzyżu Chrystus umiera w męce,
Cicho umiera...
A mnie ból nagły załamał ręce,
Szpony w pierś wbija—serce rozdziera...
Z pamięci orszak snów mych bogaty
Wypełzł—jak duchy z grobowych nisz...
Gdzież blaski słońca, wiosenne kwiaty?...
W krwawej pożodze
Stoi przy drodze
Samotny krzyż...

NASTRÓJ.

Smutek, dławiący smutek powiał na mnie z łąk,
Skąd płyną ziół aromaty...
W duszy mojej mistyczny rozwija się pąk—
Kwiat wschodzi nad wszystkie kwiaty.

Nie zna wielkiej rozkoszy, kto nie cierpi mąk—
Witaj, Aniele Zatraty!..
W duszy mojej mistyczny rozwija się pąk—
Kwiat wschodzi nad wszystkie kwiaty...

O śmierci! skrzydeł twoich otacza mię krąg,
Dnia mego gasną szkarłaty...
W duszy mojej mistyczny rozwija się pąk,
Kwiat wschodzi nad wszystkie kwiaty!...

Długo w mem biednem sercu czerw nędzny się lągł—
Dziś kona... Patrzę w zaświaty...
W duszy mojej mistyczny rozwija się pąk—
Kwiat wschodzi nad wszystkie kwiaty...

WIESZ, KWIATY PACHNĄ...

Wiesz, kwiaty pachną... Dziwne jakieś kwiaty...
Wielkie... o bladych, rozwartych kielichach...
I o królewskich mówią mi przepychach •
Ich delikatne, senne aromaty...
Śnią mi się miękkie, puszyste kobierce,
Fontanny, pereł szemrzące kaskadą,
Co, odurzając myśl swych szeptów zdradą,
Rozkosznie zmysły pieszczą mi i serce...
Nic nie mów... nawet dźwięk twojego głosu
Zamąciłby mi harmońję tej ciszy,
Co upojeniem bezgranicznem dyszy,
Dając ziemskiego zapomnienie losu.
Pachnijcie, kwiaty!... Najbujniejsza wiosna
Takiej po gajach nie rozlewa woni...
Siądź, luba... miękka pieszczota twej dłoni
Niech złotym szlakiem zdobi marzeń krosna...

. . . .

O życie! masz ty wielkie upojenia
I aż po brzegi nalane kielichy...

. . . .

Zmierzch idzie senny, zadumany, cichy —
I serca nasze w struny harfy zmienia...

SMUTNO MI...

Smutno mi... Tyle dni samotnych, tyle
Godzin tęsknoty przetrwać jeszcze trzeba...
Tak szybko gasną krótkie szczęścia chwile —
A potem chmurność jesiennego nieba
I zapatrzenie w dal odległą, ciemną,
W tę dal, co mgłami kryje cię przedemną.

Gdy przyjdzie wieczór, próżno się stęsknione
Ramiona garną ku wizji kochanej. —
Próżno — wsłuchany w noc — jej szepty chłodne,
Szukając głosu twego w rozechwianej
Fali powietrznej... mrok, pustka dokoła —
A serce woła cię, rozpacznie woła...

... I ginie życie...
Ciche westchnienie z piersi mojej płynie,
Zaledwie ciche westchnienie...
I ginie życie,
Bez echa ginie...
Kwiaty, w płomiennym wyśnione zachwycie
Zwiędły, nim przyszło wcielenie —
I ginie życie,
Bez echa ginie...
Harfa, na której złotych gwiazd promienie
Śpiewały w cudu godzinie —
Milczy rozbita...
A na wystygłym, zmartwiałym błękicie,
Po gwieździe, co w kolebce świeciła dziecinie —
Pusta została orbita...
I ginie życie,
Bez echa ginie...

NA ŁODZI.

W szklane błękity podnoszę wzrok — senny
Cichej radości życia upojeniem...
Podemną fala gędzi lekkiem drżeniem,
Prężąc leniwie swój grzbiet srebrnopienny...

Słońce mej łodzi szlak ściele promienny —
Łódź sunie — zda się — goni za marzeniem —
Woń polnych kwiatów płynie z wiatru tchnieniem,
A światem idzie jakiś rytm niezmienny...

Błękit i złoto rozlały się wkoło,
Błękit i złoto — cisza i pogoda...
Wilgotne bryzgi chłodzą znojne czoło...
A dusza moja — znów silna i młoda,
W głąb niezmąconą spogląda wesoło,
Czekając — aż jej nimfa usta poda...

W środku jeziora w gęstwie wodnych pnączy,
Jak z alabastru rżnięte, drogie czary,
Przeczystą bielą błyszczą nenufary,
A z kwiatów słodki aromat się sączy...

Rój szklarek w górze uwija się rączy...
Nad łodzią słupem wznoszą się komary —
I płyną dźwięki radosnej fanfary,
Co się zaczęła raz — i już nie kończy.

Wtem — fala nagle zmarszczyła się w pręgi...
Łódka zadrżała, jak łabędź spłoszony,

A wkoło rosnąć jęły wielkie kręgi...
Ja zaś — nad falą przez burt przechylony —
Ujrzałem — klnę się na wodne potęgi —
Złocistą główkę i pierś dziwożony...

O senne, ciche, załzawione oczy,
O zaplecione rozpaczliwie dłonie...
Czyż wszędzie tęsknot żar piekielny płonie,
Czyż wszędzie brzemię żalu piersi tłoczy?...

O, nie zapomnę ja już tej uroczej
Główki — w koralów płomiennej koronie,
Co się nad jasne wychyliła tonie,
Jak krwawa lilja — wykwitła z przezroczy...

Od jej spojrzenia cień mi padł na duszę,
Łódź okrył nagle obłok mglisty, siny,
I zamroczyły się posępnie głusze...
I wiem już od tej błękitnej godziny,
Jaka to rozkosz i jakie katusze
Patrzeć w upojne, tajemne głębiny...

I

Widziałem myśl mą o tobie:
Przyszła — jak senne widziadło,
A kiedym spojrzał w jej oczy,
Lice me z trwogi pobladło —
Bom dostrzegł, dostrzegł wyraźnie,
W tych oczu wpatrzony ciemnie,
Okrutną groźbę upiora,
Co pragnie krew wyssać ze mnie.

II

Słuchaj!... W tej dali błękitnej,
Gdzie mi zginęłaś z przed oczu,
Niech cię doleci ma skarga,
W przestrzennem drżąca przezroczu...
Wyciągnij do mnie ramiona —
Lecz ja — niech nic nie wiem o tem,
Bo bym na mękę bez końca
Do stóp twych upadł z powrotem.

III

Siedzę i słucham w zadumie,
Jak wicher gajem przelata
I ślady stóp twych maleńkich
Na dróżce skrzydłem zamiata...
I w oczach moich niemęzka
Znów łza tęsknoty się kręci —

Czemu teñ wicher nie zatrze
Śladów twych — w mojej pamięci?...

IV

Na mego łoża wzgłowie
Przyjaciel rzucił mi kwiaty...
Ach!... czy pamiętasz?... to samo
Ty uczyniłaś przed laty!...
Biedny przyjaciel!. On pragnął
Słodką mię zbudzić pieszczotą —
I w jaknajlepszym zamiarze
Patrz — serce rozdarł mi oto!..

V

Czy widzisz ?.. Ta jabłoń biała,
Ta nasza droga jabłonka,
Znów w moje okno zajrzała
Skąpana w promieniach słonka.
Lecz patrzaj — jaka zdziwiona
Ta nasza jabłonka biała...
Ach! — zda się pyta mię ona,
Gdzie dłoń, co kwiecie jej rwała?..

VI

Spoglądam w głąb mego serca —
I łza po łzie mi się toczy
Po twarzy, którą na wieki
Tęsknoty chmurny cień mroczy.

Tam dawniej w słońca się złocie
Kąpały kwietne kobierce —
A dzisiaj — cmentarz ponury
I tyle grobów... O serce!...

Po białych klawiszach leciuchna mknie dłoń,
Jak gdyby je głaszcząc pieściwie...
I wkoło konwalji rozsnuwa się woń,
I mgły się kołyszą powoli a sennie,
I gwiazdy z błękitów mrugają promiennie
Przez borów sosnowych igliwie...

Po białych klawiszach leciuchna mknie dłoń,
O struny wiolinu potrąca...
Leśnego jeziora w księżycu lśni toń,
I fala się skarży, i szemrze, i wzdycha...
I chwieje się lilja srebrzysta, a cicha —
A rosy perłami płacząca...

Po białych klawiszach leciuchna mknie dłoń,
Lecz coraz wolniejsze jej ruchy...
A z fali wodnicy wychyla się skroń,
I oczy błękitne, a pełne tęsknoty,
Podnoszą się zwolna na księżyc, na złoty,
Co płynie milczący i głuchy.

. . . .

Po białych klawiszach leciuchna mknie dłoń...

STUBARWNY MARZEŃ MOICH KWIAT...

Stubarwny marzeń moich kwiat
W wazonie wspomnień więdnie cichy,
I traci zwolna świeżość szat
I aromatów swych przepychy.

Na każdym listku plama rdzy
Codzień się zwiększa i czernieje...
Ach — tam upadły gorzkie łzy,
Któremi-m żegnał był nadzieję.

Bezbrzeżny smutek, głuchy żal
Tchnie z wietrzejącej kwiecia woni —
I wśród zapachu drżących fal
Bolesna skarga cicho dzwoni...

I gaśnie słońce, gaśnie dzień,
I mroki snują się liljowe —
A ja, w wieczorny patrząc cień,
Na pierś znużoną chylę głowę...

Zbrzydł mi kłamliwych uciech świat
I pełne wrzących pian kielichy...

. . . .

Stubarwny marzeń moich kwiat
W wazonie wspomnień więdnie cichy...

FRAGMENT.

Dla ciebie śpiewam, dla ciebie, jedyna,
Nikt do tej pieśni więcej nie ma prawa...
To jest ta wspólna, ta nasza godzina,
W której nam dola uśmiecha się łzawa,
I za ból życia, za troski, za męki —
Do stóp nam rzuca świeże kwiecia pęki.

Dla ciebie śpiewam... I patrz: każda nuta,
Chociaż ją rodzi smutek i tęsknota,
Jak gdyby była z jutrzenki wysnuta,
Mieni się cała, różowa i złota,
I nad powszednią wzlatując żałobą,
Tęczową wstęgą łączy nas ze sobą...

...Na pieśni moje czeka tłum... Ja chwilę,
Krótką się chwilę mojem szczęściem pieszczę,
A potem — dźwięków stubarwne motyle
Odpędzam... W dali migocą mi jeszcze...
Dość czaru!.. Własnej słabości się boję!..
— Więc w świat wypuszczę teraz — orły moje!..

I wiesz?.. Ta krótka godzina olśnienia
Dała mi nową moc... W mej złotej lutni
Więcej jest teraz żaru i płomienia
I więcej siły... A tam — płaczą smutni...
— W zdroju miłości pokrzepiwszy ducha —
Dziś mogę krzepić innych...
— Niech tłum słucha!..

O SNACH TYCH, CO GINĄ...

W cichej nocy patrzę jaśń, w mlecznych świateł głuchą toń,
W falujące zwiewne mgły, co lekko i sennie się winą –
I wilgotną rzeźwość ros, i upojną wdycham woń –
I myślę o snach tych, co giną!..

Na promieniach złotych gwiazd w rozmarzeniu kładę dłoń,
I z pod palców z drżących strun przedziwne melodje mi [płyną;
Łkaj mi, pieśni cicha, łkaj... dzwoń mi, skargo próżna, [dzwoń –
Ja myślę o snach tych, co giną...

Czeremchowy biały kwiat liściem prószy mi na skroń,
Jakby pamięć zbudzić chciał o twoich pieszczotach, [dziewczyno...
Płacz, czeremcho, rosą płacz, śnieżne puchy swoje roń –
Ja myślę o snach tych, co giną...

BALLADY.

DRWAL.

Za siedmią rzek, dziewięcią gór,
Nietknięty ludzką nogą,
Dziewiczą gęstwą szumi bór
Tajemnie — a złowrogo.

Ostępy, knieje toną w mgle
I w splotach dzikich pnączy...
Ale, co w głębi tai się,
Wie chyba jeleń rączy...

Nie przedrzeć się przez starych pni
Świecące próchnem zwały,
Co od potopu groźnych dni
Odwieczny bór zasłały.

I tylko wichru silny wiew
Pochyla drzew korony,
I tylko z boru płynie śpiew
Przecudnej dziwożony...

Lecz raz — w purpurze krwawych fal
Tonęło właśnie słońce —
Ku swojej chacie młody drwal
Po wonnej kroczył łące...

Był maj: przesłodkie, świeże tchy
Błękitu mknęły tonią,
I przepajały zwiewne mgły
Niewysłowioną wonią.

Pod stopą drwala krople ros
Buchały skier pożarem —
A w gęstwie leśnej dźwięczny głos
Miłosnym dyszał czarem...

„Jam tu!“.. nuciła słodka pieśń —
„Jam tu“... szeptało echo —
„Za łoże mam liszajow pleśń...
„Sitowie moją strzechą...

„I żar mój gaśnie w toni wód,
„W jeziora chłodnej fali...
„Ach kiedyż — i przez jaki cud
„Kochanek mię ocali?“..

I zadrżał drwal — wytężył słuch...
Pieśń w echu się rozwiała —
Lecz z piersi młodej rwie się duch,
Krew młoda żądzą pała.

Za topór chwyta krzepka dłoń...
Trzask, łom się echem niesie...
Żywicy świeża płynie woń —
Drwal ścieżkę rąbie w lesie...

. . . .

Minęła noc... i minął dzień...
I znów się palą zorze...
Za pniem się nowy wali pień
W prastarym, ciemnym borze...

Spłoszony ptactwa zamilkł chór,
Z bezpiecznych gniazd ucieka —
I po raz pierwszy głuchy bór
Ogląda twarz człowieka...

A drwal się rozżarł, niby lew,
I rąbie, i obala...
Zacięty opór wzmaga gniew —
A pieśń — czaruje zdala...

. . . .

Minęła noc... i minął dzień...
I znów się palą zorze...
Za pniem się nowy wali pień
W prastarym, ciemnym borze...

I nagle — cud! Z oparów mgły
Wyłania się polana —
I chłodnym, martwym blaskiem lśni
Jeziora tafla szklana.

A na jeziorze, pośród gwiazd
Srebrzystych nenufarów —
Oparłszy skroń o wodny chwast,
Królewna drzemie jarów.

Z marzenia tkana mgła jej szat,
Na ustach — kwitną róże,
I białej lilji gaśnie kwiat
Przy łona jej marmurze.

Tryumfu głośny zabrzmiał krzyk,
Posępną rozdarł ciszę...
Drwal skacze z brzegu, w trzcinach znikł—
Zachwiały się komysze...

. . . .

Królewna śpi... Różowy świt
Już budzi senne knieje...
W oddali górski płonie szczyt...
Wiatr mgły rozpędza... Dnieje...

Królewna śpi... Rozkoszny sen
Uśmiechem drga na twarzy...
Połyska jasnych włosów len...
Królewna śpi—i marzy...

A obok chmurny czuwa drwal
I sploty kwiecia targa—
Na czole mrok, w źrenicach żal,
Z ust gniewna bieży skarga:

„Na marne poszedł cały trud,
„Był smutek—i zostanie...
„Choć sen mi w jawę zmienił cud,
„Lecz pierzchło gdzieś—kochanie.

„A w sercu jeno wzbiera gniew,
„Że człek się znowu łudził...
„Nie jej to był, nie jej ten śpiew,
„Co serce we mnie zbudził"...

I wstał — i topór chwycił w dłoń,
Trzask, łom się echem niesie...

. . . .

Tęsknoty pieśnią szemrze toń...

. . . .

Drwal ścieżkę rąbie w lesie.

BAŚŃ.

Na gór posępnych siny szczyt,
Gdzie błądzą stada dzikich kóz,
W ognistej szacie zstąpił świt,
I złoty sztandar w niebo wzniósł.
Ze snu się gaj obudził już,
Z gałęzi strząsnął rośne łzy —
I na spotkanie rannych zórz
Wysłał swe„ ave“ — wonne tchy.
Za wtór — gałęzi mając szum,
Zadzwonił pieśnią słowik wieszcz...
I w słońcu lśnił motyli tłum,
Jak listków róży barwny deszcz.
A ja wśród gąszczy brnąłem wdal,
Klnąc myśli mej jałowy trud —
I w duszy łkał mi głuchy żal,
Że szczęście ludzkie — złudą złud!
I nagle — nagle z poza drzew,
Niby ułudna wizja snu,
Błysnęły mi postacie dziew,
Co jak dwie lilje kwitły w mchu.
Jedna w nadmiarze bujnych sił
Miotała z oczu złote skry —
I żar pożądań od niej bił —
I słychać było krzyk jej krwi.
Druga — w osłonie białych szat
I w długim płaszczu złotych kos —
Była — jak w pąku śnieżny kwiat,
Nieotrząśnięty jeszcze z ros.

I wionął z obu dziwny czar
Słodkiego, mistycznego snu, —
A jam stał blady wobec mar
I w piersi mi zabrakło tchu.

* *
*

„Wędrowcze!“ — pierwsza rzekła do mnie,
A głos jej miał syrenie czary —
My błądzącemu nieprzytomnie
Obiedwie niesiem swoje dary.
Więc zwalcz dziecinną swoją trwogę,
Każda z nas służyć tobie rada:
Z którą podzielisz życia drogę —
Odda ci wszystko, co posiada.
Patrz!.. moje skarby ci widome:
Kibici smukłość, ramion białość,
I usta — pieszczot twych łakome,
I słodka oczu mych omdlałość...
Skiń — a wnet w gaje szmaragdowe,
W szczebioty ptaszął, w kwiatów wonie —
Na łoże cię powiodę mchowe
I ukołyszę na swem łonie.
Ramiona moje cię oplotą,
Jak bluszcz się w koło mirtu wije —
I dam ci kosę swoją złotą,
Płonące usta, białą szyję.
Ja — pocałunków swych nie liczę,
Nie skąpię szczęścia i zachwytu!
Z piersi mej możesz ssać słodycze
Do upojenia, do przesytu!..

W pajęczą marzeń złudnych przędzę
I w ekstatyczne wizje szału —
Ja ci ubiorę życia nędzę
I otchłań świata, pełną ału
Na śnieżnych puchach mego łona
Przemarzysz całe swoje życie —
Aż wreszcie Parka niestrudzona
W miłosnym przetnie je zachwycie."

* * *

A druga rzecze: „Ja inne
Dam ci rozkosze...
Serce me takie niewinne,
Jak kwiaty o słodkiej woni,
Które na śnieżnej mej skroni
We włosach noszę.

Gdy ze mną pragniesz iść w drogę,
Jak ja — bądź biały!
Żądz twych ukoić nie mogę —
O, bo nad wszystko mi wstrętne
Zachwyty ciałą namiętne
I zmysłów szały.

Ja kocham gwiazdy te złote
Na niebios fali...
Ja kocham cichą tęsknotę,
Co blada i rozmodlona
Wyciąga mgliste ramiona
Z błękitnej dali...

Ja kocham orła, co wzlata
Nad szczyty śnieżne —
I obcy rozgwarom świata,
W blaskach słonecznych promieni,
Skrzydłem roztrąca przestrzeni
Fale bezbrzeżne.

Ja kocham mroczną głąb toni
W cichem jeziorze,
I lilję, co głowę kłoni
I patrzy sennie, omdlałe
W szemrzące u stóp jej fale
W wieczornej porze.

Ja kocham wszystko, co zwiewne
I nieuchwytne,
Co tęskne, smutne i rzewne,
Co z ziemi — jak duch skrzydlaty
W nadziemskie zrywa się swiaty —
Wszystko — co szczytne!"...

* *
*

Umilkły... W złotych blaskach słońca
Ziemia kąpała się w zachwycie,
I brzmiała pieśń nieustająca,
I całą pełnią wrzało życie...
A zpoza białych szat osłony,
Gdy wiatru musną je powiewy,
Jak marmur, cudem ożywiony,
Jaśniało pierwszej łono dziewy.

Nęcił mię oczu żar płomienny,
I ust wilgotnych szkarłat świeży,
I kibić palmy smukłopiennej,
I pierś strzelista z fałd odzieży.
Więc, płonąc w czarów jej uwięzi,
Pobiegłem za nią w mroczne haszcze,
Jak drżące ptaszę, co z gałęzi
Samo w wężową zlata paszczę.

. . . .

Minęły lata... Wieczór cichy...
Na Afrodyty pełnem łonie
Złożyłem ociężałe swoje skronie
I marzę... zwiewną postać Psychy.
Śni mi się kibić jej dziewczęca,
Łagodnych oczu błękit czysty,
W uszach mi dzwoni głos srebrzysty --
I żal nad sercem mem się znęca.
A tam — na niebie — gwiazdy płoną,
I fale szemrzą gdzieś w jeziorze,
I lilje o wieczornej porze
Patrzą w toń cichą, niezmąconą...

PIEŚŃ FEBA

(HEKSAMETRY)

W jasnym od słońca przedsionku,
którу dla ojca zbudował
Hefest, w pomysły bogaty,
stół zastawiono olbrzymi
Mnóstwem przysmaków: mięsiwo,
chleb z przedniej mąki, owoce,
Wino w amforach rzeźbionych, —
wszystko to mile nęciło
Wzrok i wzniecało łaknienie...
Wkoło na ławach, łokciami
Wsparłszy się o stół, bogowie
głośno gwarzyli, spełniając
Czary, podane przez Hebe,
co się zwijała tak raźnie,
Tak uśmiechała rozkosznie
wszystkim dokoła, że serca
Bogów wzbierały weselem...
Miejsca przedniejsze zajęli:
Zeus chmurozbiórca i Hera,
białoramienna, dostojna
Matka wszech bogów... Za nimi
dalej siedzieli koleją:
Feb srebrnołuki z formingą,
z której czarowe szły dźwięki,
Kiedy zatargał jej struny;
Ares, błyszczący swym hełmem;
Złotokędziora Cypryda,
z piany poczęta fal morskich;

Hermes o stopach skrzydlatych,
i słodkooka Atene...
Dyonizosa nie liczę,
nieśmiertelnego opoja,
Bo nie przy stole już siedział,
ale pod ławą, pijany,
Leżał i chrapał bezczelnie,
przez sen bełkocąc bez związku.
Hefest zaś chmurzył się groźnie,
patrząc z pod brwi na Aresa,
Który do cudnej małżonki
śmiał się zalecać przy mężu...

Pili bogowie bez miary,
jedli, gwarzyli wesoło,
Wreszcie powieki znużone
jęły im ciężyć jak ołów...
Wonczas się podniósł Kronides;
wzrokiem powiódłszy dokoła,
Wrzawę uciszył, a potem
tak się odezwał do Feba:
„Synu mój boski!.. Już dosyć
mamy niesfornej biesiady.
Patrzaj! bogowie się nudzą!..
Weź swą formingę drążoną,
Uderz w jej struny — i pieśnią
serca rozwesel nam dźwięczną.“
Skończył... Feb wstaje promienny;
jego natchnione oblicze
Pała odblaskiem tej pieśni,
co mu się w duszy poczyna;

Z oczu mu strzela żar święty;
złote odgarnął kędziory,
W dłoń lewą ujął formingę —
chwilę trwa cisza — a potem
Tony czarowne z strun lecą,
brzęcząc, jak pszczoły Hymetu.

Czego nie słychać w tej pieśni?!..
Oto się wiosna poczyna:
Wietrzyk swawolny ze szmerem
w gajów gęstwinie się błąka;
Brzęczą owady; skowronek
dzwoni srebrzyście pod niebem;
Zdroje po głazach się górskich
toczą i pianą bryzgają, —
Żaby rechocą gdzieś w stawie;
owce gdzieś beczą na łące — —
Wszystko to oddał mistrz boski
w tonach swej pieśni czarownej...

Taką zacząwszy przygrywką,
Feb jasne w górę wzniósł czoło,
Bujną potrząsnął czupryną,
z piersi dobywa głos silny,
Łączy go z dźwiękiem formingi —
z ust takie płyną mu słowa:
— Znacie, bogowie, Arkadję?...
znacie te góry wyniosłe,
Runią pokryte zieloną,
w słońca skąpane powodzi?..
Tam was przeniesie pieśń moja —
dzieje wam własne opowiem.

Było to w pierwszych dniach wiosny...
Rydwan mój niósł mię błękitem...
Konie parskały i biegły,
grzywy swe wiatrom rzuciwszy.
W piersiach już tchu mi zabrakło
od tej szalonej gonitwy—
Cugle ściągnąłem więc silnie—
konie łby w górę zadarły;
W biegu wstrzymawszy się rączym,
wolniej już kroczyć poczęły...

Jam spojrzał na dół... Podemną—
ach, dotąd jeszcze mi serce
Drży słodkim dreszczem zachwytu,
kiedy wspominam tę chwilę—
Wzgórze ujrzałem zielone,
po niem, jak chmurki po niebie,
Owce błąkały się śnieżne,
skubiąc soczystą ruń trawy...
Wyżej na samym wierzchołku
młoda siedziała pasterka-..
Wybacz mi, siostro;—lecz prawdę
jeśli powiedzieć mam szczerą,
Wdzięki jej nawet z twoimi
mogłyby walczyć o lepsze...
Nigdym nie widział wdzięczniejszej
główki, ni ramion tak śnieżnych,
Ani tak wiotkiej kibici,
ani tak krągłej i twardej
Piersi... O, wierzcie, bogowie!..
Krew mi zawrzała, jak ukrop!..

Chciałem już do stóp jej upaść,
chciałem ją porwać w ramiona —
Nagle — ujrzałem pasterza,
młody był, piękny i zręczny,
Piął się po wzgórzu, jak kozieł
pnie się po skalnych upłazach;
Wreszcie u szczytu stanąwszy,
dziewczę pozdrowił — i w dłonie
Fletnię ująwszy pastuszą,
począł piosenkę grać rzewną...
Dziewczę słuchało go pilnie,
w oczach jej łezki zabłysły,
Pierś falowała od westchnień —
w końcu, porwawszy się z ziemi,
Białe ramiona na szyję
mu zarzuciła — i w usta
Jęła całować namiętnie...

Gniew mię oślepił... Porwałem
Łuk mój rzeźbiony — cięciwa
drgnęła, warknąwszy złowróżbnie.
Grajek padł z piersią przeszytą...

Patrzę—dziewczyna się z krzykiem
Rzuca na łono kochanka,
grot ostry z rany wyrywa;
Krew bucha, trawy dokoła
wilżąc dymiącą się rosą...
Płacz przejmujący aż do mnie
dobiegł: to blada pasterka
Łkała, zawodząc boleśnie...
Trup stygł... Jam myślał, co czynić...

Chwilę wahałem się krótką —
wreszcie, ująwszy w dłoń cugle,
W złotym rydwanie się przed nią
w boskiej zjawiłem potędze.

Nie płacz, o boska — szeptałem —
nie płacz, ja ciebie pocieszę;
Pieśni chcesz?.. Ja ci zanucę:
bogiem pieśniarzy wszak jestem!

Zaczem formingę swą dźwięczną
w dłonie chwyciwszy, zacząłem
Śpiewać... Wnet wszystko ucichło...
Chmury wstrzymały się w locie,
Zdroje zakrzepły, wiatr nawet
skrzydła swe zwinął i słuchał, —
Tylko dziewczątko me białe,
oczy ukrywszy w rączętach,.
Rzewnie płakało... Skończyłem..

Dziewczę, podniósłszy twarz bladą,
W oczy mi patrzy i szepce:
„Piękną jest pieśń twa, o mistrzu!
Piękną, jak ty sam, promienny,
lecz on mi śpiewał piękniejsze!“...

Skończył Apollo. W przestrzeni
echa się jeszcze goniły —
Wreszcie zamilkły... Bogowie
z dziwem spojrzeli po sobie.
Jakto?... Więc pasterz zwyciężył
mistrza, co Olimp zachwyca?

Nikt nie chciał wierzyćswym uszom, —
Eros się tylko swawolny
Z kolan swej matki figlarnie
usty drobnemi uśmiechał...

O ŚWICIE.

(Ballada francuska)

Powstał świt w promieniach słońca,
Przystrojony w barwne szaty...
W oczach jasne ma bławaty,
W dłoni złota lutnia drżąca...
Z ust—jak wina zdrój z amfory—
Płynie pieśń na lasy, bory—
I o serca ludzkie trąca,
I uśpione budzi kwiaty...

Blask bez końca, hymn bez końca,
Słodkie, rzeźwe aromaty!...
Zza więziennej, rdzawej kraty
W świat się dusza rwie tęskniąca!...
W zapleśniałe swoje nory
Zwątpień kryją się upiory...
Wstaje moc tryumfująca
I uśpione budzi kwiaty.

— Serce!... Promień weź za gońca!...
Niechaj mknie, jak grot skrzydlaty,
Do tej cichej, jasnej chaty,
Gdzie dzieweczka marzy śpiąca,—
I na śnieżną skroń—kolory
Tęczy rzuci siedmiowzorej...
Niech pieszczota ją gorąca
Jak uśpione zbudzi kwiaty!..

Wiosno!.. Czar twój myśl zamąca!..
Zapomniane łzy i straty!...
— Powstał świt w promieniach słońca
I uśpione budzi kwiaty!...

BALLADA O CHRABĄSZCZU.

(Humoreska)

W gaju dzwięczna gra kapela
Pieśń miłości, hymn wesela,
Rój chrabąszczy w barwnych szatach
Jak do uczty siadł na kwiatach,
Wymuskane sterczą wąsy,
Oczki palą się jak skierki,
A tancerze i tancerki
Idą w pląsy.

Tylko jeden chrabąszcz młody
Weselnemi wzgardził gody...
Usiadł sobie na uboczu,
Gorzkie łzy mu płyną z oczu...
Nie dla niego kielich rosy,
Nie dla niego kwietne wianki,
Nie dla niego śpiew kochanki
Dźwięcznogłosej.

Z chmurą ciężkich dum na czole,
On przeklina swoją dolę:
Marny chrabąszcz, owad lichy—
Śmiał pokochać zórz przepychy!..
Śmiał ku gwieździe zwrócić złotej
Swoje smutne oczki małe—
I już odtąd życie całe
Mrze z tęsknoty!...

Jego bracia gwarną rzeszą
Blaskiem słońca tak się cieszą,

Tak śpiewają, tak ucztują,
Tak kochają, a całują —
A on siedzi na uboczu,
Ani zajrzy do kielicha,
Tylko gorzkie łzy mu zcicha
Płyną z oczu.

SONETY.

SMUTNE DŹWIĘKI PŁYNĄ KU MNIE.

Stanisławowi Przybyszewskiemu.

Smutne dźwięki
płyną ku mnie
z równi sennych...
Wichru jęki
łkają szumnie
w mgłach jesiennych...
Gdzieś z oddali
patrzy chłodno
gwiazd plejada...
W martwej fali
toń pogodną
myśl upada...

Kwiecia pęki
schną na trumnie
mar płomiennych —
Dość już męki
grzmiących dumnie
walk codziennych —
Tarcz ze stali
niezawodną
wydrze zdrada,
I obali
duszę głodną
rozpacz blada...

Niech jesieni
wiew mogilny
mgły kołysze;
Niech się zmieni
szał bezsilny
w martwą ciszę;
Niechaj więdną
pośród cienia
łąk kobierce;
Niech bezwzględną
moc zniszczenia
uzna serce;
Niech zagasną
smutne, blade
łuny zorzy —
I niech własną
widząc zdradę,
duch się korzy...

O ŚWICIE.

Płomiennych zórz
powstają zwolna łuny,
I rosa lśni,
jak rubinowy siew;
O, dosyć już
żałosne targać struny,
Niech oschną łzy,
radosny zabrzmi śpiew...

Wschodzących zbóż
łan płonie złoto-runy,
Błękitne mgły
poranny płoszy wiew...
Wylejmy z kruż
cykutę i piołuny —
I szczęścia sny
z ust hożych pijmy dziew...

Nim kwietny dzień
obudzi senne sioła,
Nim poryk trzód
powita jasny brzask —
Niech myśli cień
z chmurnego pierzchnie czoła,
Niech martwych wód
zagaśnie chłodny blask...

. . . .

W toń barw i lśnień
syreny śpiew nas woła,
I szczęścia cud
wybłyska z morza łask.

POD UROKIEM.

Dokoła słońce, słońce.. Natura, spragniona
Życiodajnego ciepła — całą piersią chłonie
Młode siły, ukryte w jego wrzącem łonie —
I błyszczy, kwitnie, śpiewa, — szałem upojona...

Wiosna! wiosna!... wyciągam stęsknione ramiona
Ku cudnej czarodziejce; krew mi w żyłach płonie,
Serce rozsadza piersi; wdycham kwiatów wonie;
Nęci mnie blask ten złoty, nęci ruń zielona...

W gaju życie aż tętni... Szum drzew, ptasząt gwary,
Brzęczenie pszczół — w rozgłośną jedną pieśń się [zlały,
W bezbrzeżny hymn radości... Z wrzącej uciech czary
I ja chcę pić!.. Precz myśli, coście mi zabrały
Słodycz młodzieńczych wrażeń i naiwnej wiary!..

Wiosno!.. weź mię w objęcia... jam twój, jam twój [cały!..

GOŁĘBIE.

Jak biała chmurka, z wiatrem po błękicie mknąca,
Stado gołębi, głośno trzepocąc skrzydłami,
Krąży nad ukrytemi w zieleni chatami,
Kąpiąc się w morzu blasków bez dna i bez końca.

Nagle — jak płatki śniegu — mieniąc się od słońca —
Zawahały się chwilę w powietrzu — i spadły,
I nizki dach słomiany dokoła obsiadły,
Że zabielił się cały, jak jabłoń kwitnąca.

Upoił je czar wiosny, — więc w miłosnym szale
Łączą się w pary... Słychać namiętne gruchanie;
Białe skrzydła trzepocą... a ja — patrząc na nie —
Z goniącej za mną śmierci śmieję się zuchwale,
I, wskazując jej dłonią białych ptaków roje,
Szepcę: Czy znasz ten symbol? Czemże groźby twoje?

MOTYL.

Siostrze mojej.

Niby kwiat, kiedy dziewczę rzuci go do wody,
Na drżącej fali złotych, słonecznych promieni
Mknie motyl, zwiastun wiosny — i w blaskach się
[mieni
Przepychem barw tęczowych... Witaj, gościu młody!...

O, jakże ci zazdroszczę lotu i swobody,
Jednodniowy kochanku róży!.. Punkt w przestrzeni
I błysk w czasie—szczęśliwyś, bo nie znasz jesieni,
Bo, chłonąc tylko rozkosz, nie wiesz, co zawody!...

Ja, pan świata, stworzenia kwiat i jego chwała,
Gdyby mi wybór służył—bez chwili wahania
Zamieniłbym się z tobą: natura ci dała
Stokroć więcej, niż warte berło panowania:
Ty nie tracisz swych złudzeń, życie twoje—chwilką,
Więc od czary upojeń spłoszy cię—śmierć tylko!

NATURA.

Matce mojej.

I

Cisza... ogromna cisza... W południowym skwarze
Upojną, słodką wonią tchną bezkreśnie łąki...
Żółte jaskry, szczaw rudy i liljowe dzwonki
Kołyszą się na wietrze, niby trybularze...

Na traw pachnących kępie spocząłem i — marzę...
Do snów mię pieśnią srebrną kołyszą skowronki;
W sercu pękają zwolna młodych uczuć pąki...
Bóg patrzy przez błękitów promienne witraże...

Kocham cię, wielki świecie!.. Kocham cię, naturo,
Co w ciszy mówisz do mnie ogromnemi słowy,
Głośniej, niźli gromami, głośniej — niż wichurą...

Anioł miłości serce wziął mi w obie dłonie
I niesie przez błękity aż do stóp Jehowy,
Który czuwa na światów pozłocistym tronie.

II

Drżą struny wielkiej harfy... Nie, to bór się chwieje
W rozmodleniu potężnej, gorącej ekstazy...
To grzmią kornego psalmu natchnione wyrazy
I kołacą namiętnie w niebieskie wierzeje...

Stare dęby, co dawne pamiętają dzieje,
Śmigłe jodły, kryjące skał podniebnych głazy—
I leszczynowe gąszcze—i białe oazy
Kwitnących tarni—ciemne ostępy i knieje:

Wszystko się modli społem... A hymn płynie, płynie,
Rozlewa się, zatacza coraz szersze kręgi,
Coraz wyżej się wzbija—i cichnie—i ginie...

Ja słucham—i upajam się tym wielkim rymem,
W sercu wzbiera poczucie niezłomnej potęgi—
I, słuchając olbrzyma—sam jestem olbrzymem!

PRIMAVERA.

I

Na tle kwitnących gajów malachitu
Chwieje się postać smukłej Primavery —
I rozdzwonione milkną nagle sfery,
Wita ją cisza zdumiona zachwytu.

W powiewnych zwojach bieli i błękitu,
W róż pękających wpatrzona kretery —
Chwieje się postać smukłej Primavery —
Na tle kwitnących gajów malachitu.

W oczy jej zajrzał złoty promień świtu,
Wargi rozchylił uśmiech jasny, szczery —
I stoi wróżka nowej życia ery,
Obca katuszom żądzy i dosytu.

Na tle kwitnących gajów malachitu
Chwieje się postać smukłej Primavery...

II

Kiść czeremchowa w okno moje dzwoni,
Jak białe, cudne, ukochane ramię —
I choć wiem dobrze, jak nam wiosna kłamie,
Ulegam czarom słodkiej kwiecia woni.

Oto ślad cierni krwawi się na skroni,
Oto się dusza jeszcze z bólem łamie...
Jak białe, cudne, ukochane ramię,
Kiść czeremchowa w okno moje dzwoni.

Z wód martwych ciemnej i milczącej toni,
Co są podobne krwi zczerniałej plamie,
Twarz patrzy blada — na niej śmierci znamię...
To zgasła miłość przed złudą mię broni.

Kiść czeremchowa w okno moje dzwoni,
Jak białe, cudne, ukochane ramię...

III

O złota czaro, czaro upojenia,
W kształt biódr kobiecych misternie rzeźbiona,—
Znowu ku tobie wyciągam ramiona,
Znowu omdlewam z żaru i pragnienia.

Jak kwiat mistyczny błyszczysz mi wśród cienia,
Dzwonisz, jak lutnia, pieśnią Salomona—
W kształt biódr kobiecych misternie rzeźbiona,
O złota czaro, czaro upojenia!

Owita cała różami z płomienia,
Cyzelowana w ciężkie winne grona,
Sercu, co z bólu i tęsknoty kona,
Niesiesz najsłodszy nektar—zapomnienia.

O złota czaro, czaro upojenia,
W kształt biódr kobiecych misternie rzeźbiona...

DWIE CHWILE.

Marji Rygierównie.

I

Gwiazdy dokoła... wszędzie... wszędzie... Mrużę
Przed ich blaskami olśnione źrenice,
Lecz przez powieki, niby błyskawice,
Przeniką lśnienie... W złotej blasków chmurze

Stoję... Nieznana dech mi spiera trwoga,
Nieznana rozkosz przepełnia mi łono...
A dookoła gwiazdy, gwiazdy płoną,
Lecąc z dróg, w przestrzeń rzuconych przez Boga.

Potop gwiazd!... Złote, migotliwie, jasne—
Spadają ciągle, jak nagła ulewa...
Już horyzonty świata im zaciasne...

A w duszy mojej coś się zrywa, budzi,
W skrzydła uderza, trzepoce się, śpiewa:
To pieśń się ze mnie tak rwie w świat—do ludzi!..

II

W izdebce mojej mrok i cisza głucha,
Martwa, cmentarna cisza... W obie dłonie
Ująwszy męką rozpalone skronie,
Czekam — a serce słucha, słucha, słucha...

W jeden się słuch zmieniło... Gdybyż echo!..
Ale za oknem tylko wicher jęczy,
Zawodząc smutnie... deszcz po szybach brzęczy...
Nic, nic, nic — sercu nie zabrzmi pociechą...

Nic!... Nagle słyszę chwiejne jakieś kroki...
Ktoś się ku drzwiom mym, zda się, chyłkiem skrada...
Co to?!.. Płacz załkał wśród ciszy głębokiej...

O smutny gościu!... Witam cię jak brata —
Pójdź!.. Drzwi otwieram — w progu pieśń ma blada
Stoi i płacze... Wróciła — ze świata...

W NAWIE KOŚCIELNEJ.

Ojcu mojemu.

Jakie bogactwo kwiatów!.. Do stóp mi się ściele
Cała wiosna młodości i rozkosz istnienia...
Wielkie róże z purpury, złota i płomienia
Rozkwitły czarodziejsko w duszy mej kościele.

Gdzież ołtarz?.. Och — zawiele tych kwiatów, zawiele!..
Próżno w głąb nawy tęskne posyłam spojrzenia...
Od marmurów posadzki aż do gwiazd sklepienia
Róże tylko i róże — przepych i wesele...

Nie chcę tych kwiatów!.. One, jak ciężka zasłona,
Święte Świętych zakryły przed wzrokiem mej duszy,
Że z tęsknoty wśród kwiecia omdlewa i kona...

— Targnąłem żywe zwoje!.. Deszcz stubarwny prószy ..
A z głębi patrzy ku mnie cicha, umęczona
Twarz Chrystusa, w śmiertelnej pobladła katuszy...

U stóp twych chciałbym klęknąć, o błękitna pani,
I usty je drżącemi całować w pokorze...
O — czemu serce moje zapomnieć nie może
Duszących splotów bluszczu i żarów otchłani!..

U stóp twych chciałbym klęknąć... Duchowie, wygnani
Z raju szczęścia, — tak patrzą w promienistą zorzę,
Jak ja patrzę w twe oczy... O Boże mój, Boże!..
Jakże wspomnienie grzechu pierś łkającą rani...

O, nie patrz ty tak na mnie łzawemi oczyma,
Nie patrz... Litość twa strasznym dla mnie jest [wyrokiem.
I nie odchodź... Wieczysta zapanuje zima,
Wieczysta noc okropnym świat przysłoni mrokiem...

Gdzie moje skrzydła białe?.. Łańcuch mię nie [wstrzyma!..
Odeszła... Życie zdradnym przybliża się krokiem...

„BĄDŹCIE — JAK TE DZIECI"

Bratu mojemu.

W zachodzącego słońca płomiennej purpurze
Cichy cmentarz wioskowy zatonął — i drzemie...
Dreszcz rozkoszy, co zda się, przenika wskroś ziemię,
Rozbija się, jak fala, o jego podmurze.

W gajach płonią się, szepcą i wonieją róże,
Jak czarujących hurys wiecznie młode plemię —
Tutaj Anioł milczenia w gwiaździstym djademie
Czuwa, jak biały posąg, rzeźbiony w marmurze.

Tylko mały pastuszek, z jasną jak len głową,
Zwinnie się na cmentarne wspiąwszy ogrodzenie,
Zuchwałą ręką sięga po gałęź wierzbową:

Wnet uleni fujarkę — gdy księżyc zaświeci
Wesoła piosnka głuche zamąci milczenie...

. . . .

Słyszę słowa Chrystusa: „Bądźcie, jak te dzieci!"...

Ogromny łan pożęty... W garściach leży zboże,
Na widnokręgu słońce zwolna, cicho kona...
Wkoło krew, krew gorąca, ogromnie czerwona...
Cała ziemia się zmienia w jedno krwawe morze.

Gasną, gasną powoli purpurowe zorze—
Na pola schodzi smętek i niewysłowiona
Tęsknota garnie ziemię w rozwarte ramiona...
Boże!.. jakże mi smutno... jak mi smutno, Boże!...

Ogromny łan pożęty... Nigdzie krzewu, drzewa,
Tylko czernią się w koło gęste garście żyta,
Na które się słoneczna krew gorzko wylewa...

. . . .

W duszy mej, niby róża mistyczna, zakwita
Pieśń... Dziwny, dziwny głos w mej duszy śpiewa...
O harfo, harfo biedna!.. o harfo rozbita!...

BŁĘDNE OGNIKI.

Noc... Pośród łąk wilgotnych stoję—zasłuchany
W natchnioną pieśń dzwoniącej dookoła ciszy...
Pierś moja wonią siana skoszonego dyszy...
Oczy błądzą po bagnach, spowitych w tumany...

Wtem—w dali płomyk jakiś zabłysnął świetlany,
Jak lampa przed obrazem w mrocznej celi mniszej...
Może to anioł jaki skargi moje słyszy
I gwiazdą złotą świeci duszy mej zbłąkanej?..

Podbiegam ku zjawisku... Już, zda się, w dłoń chwycę
To światełko, w powietrzu drżące niespokojnie—
Gdy nagle—płomyk zagasł... Odwracam źrenice—
O kilka kroków dalej inny już migoce...

O duszo, co objawień Prawdy szukasz znojnie—
Patrz—oto tak złudzenia zwodzą cię w pomroce.

SZUKAŁEM CIĘ...

Szukałem cię tak długo, dni i nocy tyle,
W księgach starych na jawie i w marzeniach we śnie;
Szukałem cię tak długo—ach! i tak boleśnie,
Że pamiętam dziś każdą mąk przeżytych chwilę...

Za życia byłem w trumnie, w głębokiej mogile,
W szare, chłodne, wilgotne porośnięty pleśnie—
Lecz czułem, że gdy przyjdziesz, wnet moc moja [wskrześnie,
Zrzucę wieko—i głowę na światło wychylę...

Konałem... Ach!.. jak straszną była ta godzina,
Gdym czuł, że zwolna krwi mej ucisza się wrzenie,
I że jej potok wartki w zimny lód się ścina—
I wtedy cię znalazłem wreszcie—objawienie
Nieśmiertelności bytu— —znalazłem w katuszy
Rozpacznego protestu własnej mojej duszy.

WSTĄPIŁEM WE ŚNIE...

Wstąpiłem we śnie w ciemne przeznaczeń otchłanie,
Ponura się przedemną otworzyła grota;
Wielki miech dął w ognisko, dymiące przy ścianie,
A z wnętrza szedł potężny huk ciężkiego młota...

Spojrzałem... W chwiejnem świetle, co drży i migota,
Wśród krwawych skier, nieznośnych oku — jak cierń [ranie —
Ujrzałem dwóch cyklopów, smutnych, jak tęsknota,
Niemych — jak ból, co serce toczy niezbłaganie...

Kuli coś na kowadle w zawziętem milczeniu —
A węzły żył nabrzmiałych i czoła zroszone
Świadczyły o bolesnem, śmiertelnem znużeniu...
Chwilę stałem, ciekawie tężąc wzrok w ich stronę —
I nagle — pod młotami — przy żywszym płomieniu
Ujrzałem — skrzydła duszy mej — niedokończone...

Myśl moja, niby krwawy pioropusz płomienia,
Błyska ponad ofiarnym snów młodzieńczych
[stosem —
Bucha w górę, wszerz rośnie — i ponad chaosem
Króluje w majestacie grozy i zniszczenia...

Próżno dusza z rozpaczą woła: „Cienia!.. Cienia!“
Próżno przed płomienistym pada w proch kolosem...
On — w tryumfie — z rozwianym na wichurze włosem,
Depce potężną stopą cudny świat złudzenia...

Wstań, duszo!.. Ja widziałem w tobie takie szczyty,
Których demon niszczący nie dosięgnie okiem...
Niziny — zostaw pomście nędznej i niesytej...
Idź w góry — twoje góry... W spokoju głębokim
Śnią tam bóstwa, o których nic nie wiedzą mity,
Bóstwa, wiecznych tajemnic otoczone mrokiem...

UDERZAM W STRUNY LUTNI...

Annie Nałkowskiej.

Uderzam w struny lutni pięścią rozszalałą...
Niech pękną—lub niech tonów wybuchną orkanem!
Dość mi słowiczych dźwięków: w sercu krwią [zalanem
Nadto mi już boleści i ognia wezbrało!..

Krzycz, dzwoń, pal się, o lutni!... Duszę swoją całą
Zaklinam w ciebie, duszę, którą—jak taranem—
Chcę rozbić mur więzienny... Przed Niepokonanem
Staję dziś, by pokornem mej woli się stało!..

Krzycz, dzwoń, pal się, o lutni!.. Całe swoje życie
Rzucam dzisiaj na stawkę w walce z przeznaczeniem—
Zginę—albo wyśpiewam treść, zawartą w bycie!..
A jeśli treść ta tylko duszy mej złudzeniem,
To tak się wzmogę w twórczej potęgi zachwycie,
Że Cień się stanie Jawą—Jawa stanie Cieniem!...

KOCHAM...

Ja śmiem!.. Ja śmiem dziś głośno powiedzieć to słowo,
Co czoło mówiącego wieńczy w blasków kręgi...
Czuję w sobie moc twórczą — moc boskiej potęgi,
W żywy kształt zmieniającą bryłę granitową!..

Kocham!.. I pieśń ogromna zadźwięczy na nowo!..
Przysięgam — i nie złamię tej świętej przysięgi!
Precz — mdłe wiosenne kwiecie, szarf pomiętych [wstęgi —
I ty — maro zwątpienia z pochyloną głową!..

Kocham... Depcę z uśmiechem całą przeszłość moją...
Wyżej stoję, niż mogą dojść czady otchłani...
Kocham... I to mi dzisiaj weselem i zbroją —

A chociaż ból okrutny czasem pierś mą zrani,
Potężne dźwięki pieśni znów serce ukoją
I idę dalej, wierząc, że cierpią — wybrani.

NIE MÓW...

I

Kochałem cię... Nie, nie mów, że te święte słowa
Bezczeszczą moje usta, gorączką spalone...
Ja wiem, powiedzieć „kocham“ — dziś nie mogą one —
Lecz kochałem... I byłaś ty mi, jak królowa...

Tak... W prochu u stóp twoich leżała ma głowa;
Z pokorą, czcią i dumą patrzałem w twą stronę...
A jeśli dziś nie kocham, jeno żądzą płonę —
Tyś winna — że ci obcą była duszy mowa...

Prawda, miałaś hart, ale i chłód miałaś stali,
Bałaś się, że cię dłoń ma, zgiąć nie mogąc — skruszy —
I ostrzem klingi w pierś mą godziłaś z oddali —

A jam czekał daremnie, wierząc, że cię wzruszy
Korne moje milczenie...
                                        Dziś mię żądza pali:
Pragnę twojego ciała, bom nie znalazł duszy.

II

Nęcą mię twoich oczu rozdęte źrenice,
Nęcą mię twoje usta, wrzącą krwią nabrzmiałe,
Nęcą mię twoje piersi okrągłe i białe—
I ten uśmiech, co wieczną chowa tajemnicę...

Gdy na sobie przelotne twe spojrzenie schwycę,
Co choć pragnie—fałszywie jasne jest i śmiałe—
Zapominam, że gardzę—i zmysły omdlałe
Szepcą: „pójdź!.. niech się twoją pięknością nasycę!"..

A jednak... Wiem,—świat w przepaść runąłby wraz [ze mną,
Gdybyś chciała usłuchać mojej krwi wołania
I padła w me ramiona po rozkosz wzajemną —

A jednak—gdy się przeszłość z pamięci wyłania—
To za swą wiarę w ciebie, świętą, choć daremną,
Dałbym—nawet ten krwawy tryumf pożądania!..

MIAŁEM DZIŚ CHWILĘ...

Miałem dziś chwilę krótką, niby oka mgnienie,
Gdy cała przeszłość moja piękna i dziewicza
Olśniła mnie uśmiechem młodego oblicza,
Płosząc dzisiejszej doby gęste, smutne cienie.

Byłem znów tym szaleńcem, co mając widzenie
Ideału — nie waha się i nie oblicza,
Lecz czerpiąc zapał z uczuć wieczystego znicza,
Biegnie — żeby mu skrzydła spaliły płomienie.

Miałem dziś taką chwilę... Serce mi zadrgało
Tak potężnie — żem znowu poczuł się tytanem,
Co o głazy bić gotów piersią swą zuchwałą...

Tytanem!.. Łzy mnie dławią... Na twej piersi drogiej
Pozwól mi nad swem życiem zapłakać złamanem —
I patrz — jak w wirach życia giną dawne bogi!...

ŚPIĄCEJ KRÓLEWNIE.

Ze szklistej, szmaragdowej tafli twoich wód,
Której nie rozkołysał nigdy wiatr wiosenny,
Tchnie chłód, królewno śpiąca, beznadziejny chłód
I spokój taki martwy i taki kamienny.

Gdy spojrzę w twe jezioro, żaden mi się cud,
Żaden cud mi się nie śni, ani bóg promienny,
Tylko krew zwolna w żyłach ścina mi się w lód,
Tylko powieka cięży na źrenicy sennej.

Uciekaj razem ze mną!.. Tam, u złotych wrót
Mego zamku, co stoi w jasności jutrzennej —
Na twoje powitanie w dzwon uderzy wschód,
Skroń twą osypie kwieciem jaśmin smukłopienny, —
A ja za letarg piękna, za martwy sen złud,
Klęcząc — wino ci złote podam w czarze cennej.

O, JAKIE ZIMNE TWOJE RĘCE...

O, jakie zimne twoje ręce,
O, jakie blade ust korale!..
Czmu tak patrzysz w senne dale,
Gdy ja się w pragnień wiję męce?..

Czyż nigdy cię w ten gaj nie znęcę,
Co się rozkwiecił tak wspaniale?..
O, jakie blade ust korale,
O, jakie zimne twoje ręce!..

Chcesz?.. Tam u morza, w skalnej wnęce,
Gdzie — niby struny — grają fale —
Zbuduję ołtarz, znicz zapalę,
Kultowi twemu pieśń poświęcę.

O, jakie zimne twoje ręce!..
O, jakie blade ust korale!..

OCZAROWAŁA CIĘ TA BIAŁA...

Oczarowała cię ta biała,
Urzekła cię ta lilja zwodna—
I zamyślona, niema, chłodna,
Stoisz—jak wizja skamieniała.

A pieśń słoneczna twego ciała
Spokój mej duszy mąci do dna...
Urzekła cię ta lilja zwodna,
Oczarowała cię ta biała...

Patrz! różem świtu płonie skała
I dreszczem drga jej pierś bezpłodna—
Czyż moja wiosna nie jest godna
Tej, co w kamienie życie wlała?..

Oczarowała cię ta biała,
Urzekła cię ta lilja zwodna!...

Cicho się krwawi ciche serce moje,
Patrząc w zastygłe swoich snów opale...
Zgasły już łuny i zasnęły fale —
Lecz krwawej blizny nigdy nie zagoję...

Gdzieś na samotnej zbudowaną skale
Smukłą wieżyczkę wieńczą chmur zawoje —
Ale zamknięte kościołka podwoje —
Milczą organów zapomniane żale...

O innym tumie dzisiaj smutny roję,
Nęcą mię świetne i rozległe dale...
Szczęście?.. Błękitne wyschły dawno zdroje...

Ocean chmurny zahuczał wspaniale...
Cicho się krwawi ciche serce moje,
Patrząc w zastygłe swoich snów opale...

Spis rzeczy.

Str.

SONETY.